ROK I. Nr. 33. **10.000 zł. nagrody** 8 września 1929 r.

7 DNI

CENA 50 GR

Rejentalnie stwierdzony nakład: 30.000 egzemplarzy.

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



Sue Carrol i myszka (Fot. Fox)

Co słychać na świecie?

Skończyło się... Przedstawiciele głównych mocarstw wierzycielskich opuścili Hagę (i piękną plażę w Scheveningen) z ulgą w sercu, iż niczego innego nie wymagano od nich, jak tylko podpisania punktacji zasadniczych ustępstw — finansowych na rzecz Anglji i politycznych na rzecz Niemiec.

Skończyło się nawet — zdaniem przedstawiciela najbardziej poszkodowanej Francji, Brianda — „nie najgorzej", bo oto Henderson oświadcza, iż mimo pozorów, harmonja w stosunkach angielsko francuskich nie została naruszona. A o to tylko chodziło, by coute que coute, za cenę największych chociażby ustępstw, nie zmienić konjunktur politycznych. Prawda, że ten sam Henderson oświadczył innym razem, iż „sierpień w Hadze był tylko prologiem do doniosłych obrad wrześniowych (na których ma się odbyć reelekcja Polski na fotel). Tymczasem atoli — wszystko w polityce jest w porządku, a że poczyniono te lub inne ustępstwa, toć przecież wszyscy i tak do tego są przyzwyczajeni.

Boć istotnie, na każdej z konferencyj, jakie się odbywały od r. 1918 na temat odszkodowań, stale obniżano skalę pretensyj do Niemiec, udzielano zwłok i rozciągano terminy spłat. Trudno przypuszczać, żeby dziś, kiedy Niemcy tak znacznie okrzepły, iż pomimo strat terytorjalnych, uważają się za zwycięzców, ośmielono się zmienić ton pojednawczy, który od czasu Locarna stał się zwykłym językiem dyplomacji.

Zacznijmy od r. 1918. Stwierdzono wówczas, iż *wojna kosztowała mocarstwa sprzymierzone 4.775 miljardów franków*. Czyniąc pierwsze ustępstwa na rzecz Anglji (zgodnie z projektem entuzjasty Snowdena, a naszego „przyjaciela" Lloyd-George'a), włączono do pretensyj odszkodowania winne osobom, zmniejszając tem samem sumy podane przez Francję. Interwencja amerykańska okazała się już wtedy korzystną dla Niemiec, gdyż pierwszy projekt Stanów Zjednoczonych opiewał na 126 milj. marek zł. Wysunięto jednocześnie projekt francuski t. zw. Klotza, na 194 milj. marek zł. W dalszym ciągu dyskusji żadna z tez nie uzyskała ostatecznej aprobaty i postanowiono zażądać od Niemców — wpłaty sumy 20 milj. do r. 1921, t. j. do chwili, kiedy specjalna komisja zdąży rozpatrzeć pretensje poszczególnych mocarstw. Odbyło się w międzyczasie 8 konferencyj (San Remo, Hythe, Boulogne, Bruksella, Spa, Bruksella, Paryż). Uchwalono zasadę ryczałtu, przyczem mocarstwa sprzymierzone zażądały 1.350 milj. franków, a Niemcy zaproponowali za pośrednictwem prezydenta Hardinga... 300 miljardów. Zgody nie było. Naradzano się więc w dalszym ciągu, aż ustalono wreszcie w r. 1921 sumę należną na 132 milj. marek zł. (792 milj. frank.). Od tego czasu, jak należało się spodziewać, datuje się złośliwy sabotaż niemiecki. Marka leci, dostawy świadczeń w naturze zawodzą. Berlin żąda moratorjum. Znów rozpoczęto dyskusję, (Cannes, kilka razy w Paryżu i kilka razy w Londynie). Okupowano Ruhrę — a stosunki pomiędzy Anglją a Francją znacznie ochłodły. W r. 1923 notujemy nowy projekt. Tym razem angielski — Bonnar Law'a. Nowy temat do dyskusyj nie przyniósł żadnych wyników. W r. 1924 powstał plan Dawes'a, ustępliwy i jak wyraźnie zaznaczono w upełnomocnieniu redaktorów projektu, czasowy, gdyż uważano za niezbędne przetrwanie pewnego czasu dla wyrobienia wzajemnego zaufania. Ostatni plan Younga, podyktowany koniecznością interwencji bankiera Europy, Stanów Zjednoczonych, znów redukuje sumy należne od Niemiec. Snowden wreszcie uzyskał teraz na korzyść Anglji znaczne sumy na korzyść Anglji, a Francja, która bezsprzecznie poniosła największe ofiary, musiała nietylko sama się przychylić do żądań angielskich, ale gorliwie namawiała inne mocarstwa do ustępstw.

Bilans „nie najgorszy", panie Briand, bo jeśli zważyć, że Francja otrzyma na zasadzie planu Younga 152 miljardy, to winna jest z tytułu odszkodowań osobowych 114 milj., 99 milj. za szkody w mieniu, 42 milj. Stanom Zjednoczonym i 28 milj. Anglji — nie licząc kosztów prowadzenia wojny, wynoszących około 150 milj.

Nie najgorzej... Nic dziwnego, że p. ambasador Hoesch, pierwszy pośpieszył na spotkanie premjera francuskiego i serdecznie mu winszował powrotu z Hagi...

* * *

Przyjaźń i współpraca polsko - francuska nabiera coraz większego znaczenia. Stwierdzili to naocznie parlamentarzyści i inżynierowie cywilni, przybyli ostatnio z Francji, celem zapoznania się z okazji P. W. K. z naszym dorobkiem gospodarczym i kulturalnym. Wyrazy szczerego podziwu, których nie szczędzili nam mili goście, będą powtórzone we Francji, utwierdzając cały naród w przekonaniu o doniosłem znaczeniu naszej przyjaźni dla równowagi politycznej Europy i pokoju powszechnego. „Ścisła współpraca Polski z Francją — oświadczył p. min. Wysocki, cytując słowa słynnego polityka francuskiego, Mazariniego — nie jest przejściowem zjawiskiem politycznem, lecz należy do struktury życia politycznego Europy".



Pan Prezydent Rzeczypospolitej zaszczycił swoją obecnością uroczystość otwarcia domu wypoczynkowego dla uczennic łódzkiej szkoły handlowej w Śniadowicach, w powiecie Opoczyńskim, połączoną z tradycyjnym obchodem dożynek. Na ilustracji naszej widzimy dostojnego Włodarza Polski, przyjmującego dary wieśniacze. (Fot. Pikiel).



Ś. p. Stanisław Barcewicz, sławny skrzypek, zmarł w ubiegły poniedziałek w Warszawie



Na turnieju szachowym w Karlsbadzie zwyciężył Niemcewicz zawodnik duński



Ostatnio w Austrji nakręcają film, w którym główne role kreują: miss Austrja i Franciszek Lehar



Pułkownik Köhl został mianowany dyrektorem misyjnej linji lotniczej w Afryce



Znany pisarz romansów kryminalnych Wallace został dyrektorem teatru w Londynie



W dniu 31 sierpnia bawiący w stolicy parlamentarzyści francuscy złożyli wieniec na Grobie Nieznanego Żołnierza. (Fot. Światowid).



Dnia 29 sierpnia odbyły się próby ślizgowców wykonanych w stoczniach modlińskich. W próbach wziął udział gen. Kwaśniewski. (Światowid).



Kapitan Baran okazał się najlepszym polskim miotaczem dyskiem. w zawodach międzypaństwowych Polska - Czechosłowacja. (Światowid).



Znany roznosiciel owoców w Londynie Jim zdobył rekord zręczności, niosąc na głowie 20 koszów napełnionych owocami. (Wide World).



Pilotka Louisa Thadem, zatrudniona na linji lotniczej w Oakland, zwyciężyła w kobiecem derby samolotowem na trasie Los Angelos — Cleveland.



Anglicy gorączkowo przygotowują się do zawodów o puhar Schneidera Na fotografji widzimy hydroplan marynarki S. 6. Rolls Royce. (Wide World)



Do Londynu przybyli lotnicy włoscy: Monti, Dal Molin i Agello, którzy wezmą udział w zawodach o puhar Schneidera. (Wide World).

M. B. LEPECKI.

Hijo del sol [1]

— Wylądujemy na tej plaży — rzekłem, wskazując na majaczącą skroś nocy jasną plamę piaszczystego wybrzeża.

Indjanie poszwargotali coś między sobą i po chwili łódź stuknęła dziobem o niski brzeg.

Ażeby zorjentować się w terenie, wypuściłem rakietę. Jaskrawe światło zalało na chwilę rzekę, plażę, ujście jakiegoś strumienia, a co najważniejsze pozwoliło nam dostrzec w niedalekiej odległości grupę chat, krytych liśćmi.

— Carramba! — zakląłem — znowu Indjanie.

— Tu, panie, — odezwał się jeden z wioślarzy, bronzowy Jokiryłaje — mieszka kuraka Ompikiri. Jego ludzie są dobrzy. I on sam dobry.

Wylądowaliśmy.

W kilka minut później zaroiło się na brzegu od Indjan, których przywabiło niezwykłe światło. Aby wzbudzić do siebie należyty szacunek wypaliłem pięć razy w powietrze z karabinu. Indjanie tamtejsi, należący do plemienia Kampów, są jednak odważni. Ani strzelanina, ani też rakiety nie przeraziły ich. Wprawdzie zostali tem wszystkiem olśnieni, ale strachu nie okazywali.

Wkrótce zjawił się sam kuraka, czyli wódz Ompikiri.

— Buenos dias — przywitał nas po hiszpańsku i poklepał południowo - amerykańskim obyczajem po łopatkach.

Był to czterdziestoletni mężczyzna, ubrany w narodową szatę, zwaną cushma, i w koronkę z piórami. Na jego twarzy malowała się chytrość i przebiegłość. Nie była to jednak twarz wojownica, których wiele widniało wokół niego, lecz raczej twarz spryciarza.

Kurakjat Ompikirego obejmuje tereny między rzeką Puyeni i Anapati. W przeciwieństwie do niektórych innych wodzów, Ompikiri nie uznaje nad sobą władzy białych. Na zapytanie, czy posiada zwierzchnika, odrzekł dumnie:

— Nie. Ani ja, ani moi ludzie nie mają nad sobą pana.

Ompikiri przypatrywał się nam przez jakiś czas badawczo, poczem zadał mi pytanie, które z ust Indjan słyszałem już wielokrotnie:

— To wy naprawdę nie jesteście „soldados"?

— Nie kurako, nie jesteśmy.

Ompikiri ucieszył się.

— To bardzo dobrze — rzekł — myślałem, że jesteście żołnierzami i że przyszliście nas zabić.

W tej chwili podszedł do nas i wtrącił się do rozmowy jakiś niski, dość szczupły Indjanin, ubrany w oryginalną, powłóczystą cushmę i mniej oryginalną „cyklistówkę", jaką bardzo często można zobaczyć na Woli, lub w Czerniakowie. Przed tym niepozornym człowiekiem tłum Indjan rozstępował się z jak największym szacunkiem, a nawet, rzekłbym, strachem.

— Ucieszyło się serce moje — odezwał się przybysz po hiszpańsku — gdy dowiedziałem się, że nie jesteście *mala gente* [2]).

— Kto to jest? — zapytałem Ompikirego.

— To jest jeden kuraka z Gran Pajonalu [3]) — odrzekł wymijająco.

Wiadomość ta ucieszyła mnie, gdyż już od dawna marzyłem o rozmowie z Indjaninem z tej nietkniętej przez białych krainy.

Radość moją zwarzył nieco Jokiryłaje, który wyszeptał mi na ucho, że Indjanin w cyklistówce, to sławny w całej Montanji, krwawy Tasulinczi. Mimowoli zdjąłem z ramienia karabin, a nowinę zakomunikowałem niezwłocznie swoim dwu białym towarzyszom.

Niebylejaka to figura ów Tasulinczi. Wystarczy chyba, gdy wspomnę, że jest to znakomity wódz Indjan z ostatniej wojny, toczącej się między sprzymierzonemi plemionami z Gran Pajonalu i z nad rzeki Ucayali, oraz białymi osadnikami. Sam Tasulinczi był kiedyś niewolnikiem jednego z białych, zamieszkałego w pobliżu ujścia rzeki Unini. Z owych czasów pozostała mu znajomość hiszpańszczyzny i znajomość plemion z keczuańskiej grupy językowej, zamieszkujących brzegi Ucayali. W jaki sposób skromny niewolnik indyjski potrafił połączyć skłócone szczepy Gran Pajolu o-



Widok na rzekę Tambo

raz wybrzeży Ucayali, a do tego stanąć na ich czele i skłonić do wykopania siekiery wojennej przeciw białym — pozostanie tajemnicą zapewne na zawsze. Ileż to było potrzeba wytrwałości, chytrości, dyplomacji, aby tego niezwykłego dzieła dokonać! Tasulinczi zaniósł pożogę wojenną aż po Masiseę i dalej, nad średni bieg Ucayali. Wojnę potrafił wygrać, a ludom swoim zapewnić dobre



Rodzina Indjan z plemienia Kampa (Fot. M. B. Lepecki)

pięć lat spokoju. Dopiero w roku 1920 (powstanie wybuchło w r. 1915) odważyli się niektórzy osadnicy powrócić nad Górne Ucayali.

Imię Tasulinczego jest sławne w całej Montanji. Wieści o nim przekroczyły nawet Kordyljery i dotarły do Limy. Jest to niewątpliwie najwybitniejszy Indjanin współczesny w Peru. Gdyby ktoś chciał z nim „pogadać", byłby on w stanie skłonić całe plemię Kampa do spokojnego, osiadłego żywota i w ten sposób zachować je przed nieuniknioną zagładą. Kto jednak z nim w tych sprawach pomówi? Mieszkańcy Montanji nie zapomną mu nigdy wymordowanych braci, sióstr, ojców matek, a rząd uważa go poprostu za zbrodniarza, buntownika i zdrajcę. Zawziętość przeciw Tasulinczemu jest wielka i niewątpliwie doprowadzi do nowej wojny, o ile, tymczasem, nie nadadzą innego obrotu sprawom północno - amerykańscy misjonarze z superintendentem Peughem na czele. Ludzie ci prowadzą bardzo żywą akcję wśród plemion Gran Pajonalu, a Tasulinczi jest ich wielkim przyjacielem.

Sam Tasulinczi nie przedstawia się nazbyt reprezentacyjnie. Dość plugawa cushma i karykaturalnie wyglądająca przy niej cyklistówka przyczyniały się do tego w dużym stopniu. Jedynie twarz tego człowieka miała w sobie coś niezwykłego. Przebijała z niej lisia chytrość, podejrzliwość, bezwzględność i spokojne, zimne okrucieństwo.

— To ty, kurako, jesteś Tasulinczi? — zapytałem go bez ogródek.

Indjanin spojrzał na mnie podejrzliwie.

— Yo soy hijo del sol, ja jestem synem słońca— odrzekł wymijająco.

W tem miejscu muszę zaznaczyć, że Kampowie są już jedynym ludem w Peru, hołdującym starożytnej religji Inkasów — wierze w słońce. Bóg i słońce, to u nich synonimy, a oni sami zwą się dziećmi wiecznie gorącego Paua, albo, z keczuańska, — Tauanty. Wprawdzie wielu Kampów mówi o sobie, że są „ewangelistas" i że największym czarodziejem i kapłanem jest Peugli, jednak, w gruncie rzeczy, nie rozumieją zupełnie, że przyznawanie się do jakiejkolwiek religji chrześcijańskiej ma oznaczać wyrzeczenie się wiary w słońce. Najoczywistszym tego dowodem było śmiałe oświadczenie Tasulinczego, że jest „hijo del sol", aczkolwiek wszystkim w Montanji wiadomo, że lubi on o sobie mówić, jako o ewangeliku i przechwalać się wielką przyjaźnią z Peughem i jego prawą ręką — misjonarzem Stahlem.

Bardzo mi zależało na dobrem usposobieniu do siebie najznaczniejszego kuraki indyjskiego, to też dałem mu nóż i wiązkę paciorków, do których aż mu oczy zabłysły. Najwidoczniej jednak miał niejedną żonę do obdzielenia, gdyż poprosił, aby mu dać paciorków więcej. Oczywiście, uczyniłem zadość prośbie władcy. Gdy zauważyłem, że rozkleił się już zupełnie, zacząłem wyciągać go na słówka i wypytywać, dlaczego zdecydował się przybyć nad Tambo.

Tasulinczi odpowiadał początkowo półsłówkami, ale następnie rozgadał się na dobre.

— Był u mnie — mówił — padre Stahl i powiedział, żeby tutaj, nad Cheni, zebrało się dużo Kampów, to on przyjedzie z Iquitos z wielkim statkiem pełnym noży, siekier, maczet oraz broni i zrobi pueblo [4]) indyjskie. My jesteśmy ludzie spokojni, chcemy żyć w zgodzie z białymi, chcemy siać bawełnę i jukę, a w lesie zbierać kauczuk. My tylko nie chcemy patronów [5]). Bardzo nie chcemy patronów. Oni wciąż chcą, żeby im dawać nasze dzieci [6]), a my nie chcemy nikomu dawać swoich dzieci. My swoje dzieci chcemy chować sami.

— Masz rację, kurako — przyświadczyłem mu — nikt nie ma prawa żądać od was dzieci.

Kuraka zamyślił się na chwilę.

— Ty, zapewne jesteś *gringo* [7]) — odezwał się znowu — znałem takich w San Ramon, gdzie przebywałem przed laty. Wszyscy oni mówili tak, jak ty, lubili mój naród.

— I ja was lubię.

— A skąd ty jesteś?

— Jestem z narodu polskiego, *polaco*.

— Polaco?

— Tak, polaco. Zapamiętaj sobie i powtórz to swoim ludziom, że wojownicy tego narodu nigdy nie robią krzywdy wojownikom czerwonoskórym.

Kuraka długo kiwał głową z zadowoleniem.

Chociaż była już późna noc, tłum Indjan nie zamierzał pozostawić nas samych. Ponieważ jednak i Tasulinczi i Ompikiri ustosunkowali się do nas życzliwie, rozłożyliśmy swoje pielesze bez specjalnych obaw i ułożyliśmy się spać. Wioślarzom wydałem rozkaz, aby czuwali, kolejno, z karabinami w ręku, lecz ci, jak się później przekonałem, rozkaz zlekceważyli i spali snem sprawiedliwych przez całą noc.

Obozowisko polskiej ekspedycji badawczej we wsi indyjskiej nad rzeką Tambo. Przy namiocie na lewo, kpt. M. B. Lepecki

[1]) Hijo del sol (czyt.: icho del sol) — syn słońca (hiszp.).

[2]) Mala gente (hiszp.) — źli ludzie.

[3]) Gran Pajonal (czyt.: Gran Pachonal) jest to wielki szmat kraju, mierzący ca 100 tys. km.² zamieszkały wyłącznie przez Indjan. Leży w Montanji peruańskiej między rzekami Ucayali, Pachitea, Tambo.

[4]) Osiedle.

[5]) Patronami zwą niewolnicy indyjscy w Peru swoich panów.

[6]) W Montanji istnieje dotychczas handel dziećmi indyjskiemi.

[7]) Cudzoziemiec.

Jak lotnicy francuscy przelecieli Atlantyk?

(Wywiad „7 DNI" z Lottim, Lefévrem i Assolant'em)

— ...istotnie więc bardzo przepraszam, że zmuszony jestem...

— Mamy czas proszę pana, czekamy na rachunek już od pół godziny, poczekamy prawdopodobnie jeszcze z godzinę. Portjer przecie powiedział *zaraz*, co podobno znaczy po polsku *dans une heure*.

Ugryzłem się w język i połknąłem gładko tę krytyczną uwagę, wypowiedzianą zresztą w dobrej wierze.

Armand Lotti, Jean Assolant; René Lefévre trzej zwycięzcy Atlantyku, no i moja skromna osoba, towarzystwo ze wszechmiar godne, obsiadło marmurowy stolik hotelu Europejskiego.

— Więc mam oczywiście opowiedzieć jak to było — zaczyna Lotti — Doskonale. Będzie to taką małą wprawką coprawda, zciągają nas z wyżyn miłych przyjęć, których nie szczędzili nam pańscy rodacy. Przyda nam się to bardzo, bo za chwilę, jak panu wia domo, opuszczamy gościnną Warszawę i lecimy w odwiedziny do naszych polskich kolegów w Poznaniu, z którymi mnie osobiście łączą więcej aniżeli miłe wspomnienia. A tam będę znów musiał opowiadać...

Otóż jak panu wiadomo, próbowaliśmy dnia 1-go czerwca startować do Europy, lecz z powodu zbyt wielkiego obciążenia, start się nie powiódł.

Nocy poprzedniej nie zmrużyliśmy prawie oka. Uparta myśl ustawicznie przychodziła nam do głowy: za ciężko, za ciężko...

W sekrecie przed kolegami wyrzuciłem z samolotu ciepłe i nieprzemakalne płaszcze, swetry, zbyteczne prowianty. Ten sam los spotkał nawet wielkie pudło amerykańskich cygar, które tak lubi Assolant.

Z zapasów żywności pozostawiłem tylko: *6 bananów, 6 krajanek z szynką i jeden litr kawy.*

Jak na przelot nad Atlantykiem niezbyt wiele!...

Nie będę panu opisywał ostatnich chwil przed startem. Wyobraża je pan sobie dobrze

Więc: tłumy ludzi, uściski dłoni, życzenia, krótkie zaniepokojone spojrzenia, które zdawały się mówić: „nieprędko zobaczymy ich, wpadną w morze jak tylu innych, nie każdy urodził się Lindbergiem". Wyznam zresztą szczerze, że byłem nieco zdenerwowany i nie zwracałem zbyt wielkiej uwagi na otoczenie. Pamiętam tylko, zdanie syna jednego z naszych mechaników, który stał w tłumie. Był to dwunastoletni może wysportowany chłopak amerykański. Spojrzał na naszego „Żółtego ptaka", kiwnął głową, poczem trącił łokciem starszego brata i rzekł z całą anglosaską flegmą.

— No, na tym pudle przelecieć przez Ocean nie można!

Nie wiem dlaczego przypadkowo dosłyszane to zdanie specjalnie utkwiło mi w głowie, więcej nawet, niżli ostrzeżenia poważnych fachowców.

Assolant dał pełny gaz. Ruszyliśmy.

Wie pan, że chyba nie ma głupszego uczucia na świecie jak to, co człowiek czuje przy starcie do lotu przez Atlantyk. Duma, trwoga, radość, niepokój tworzą przedziwną mięszankę psychiczną, której sekundę głuchy warkot motoru, zauważyliśmy, że ogon naszego płatowca nie chce oderwać się od ziemi.

Przemożny wysiłek. „Żółty ptak" poczyna się wznosić jakby z żalem, powoli, żegnając łoskotem sześćsetkonnego silnika nową ziemię.

— *Tu vertas Armand*, to będzie twój najprzyjemniejszy spacerek — krzyknął mi w ucho Lefévre.



„L'oiseau jeaune" — na którym lotnicy francuscy przebyli Atlantyk

Poczem przez długi czas nie przemówiliśmy do siebie.

Start odbył się punktualnie o godz. 3-ej, co się równa 10-ej według czasu europejskiego.

Byliśmy już dobre dwie godziny w drodze.

Pogoda nam sprzyjała, niebo było czyste i słońce uśmiechało się do nas jednym ze swych najpromienniejszych uśmiechów, gdy nagle zauważyłem, że coś żywego gwałtownie się porusza na ogonie samolotu..

— To pewno jakiś ptak morski — zauważył Assolant.

Aux lecteurs du Journal "7 dni" en toute sympathie

Jean Assolant René Lefévre Lotti

Kilka słów sympatji dla czytelników „7 DNI", które nakreślili podczas wywiadu Assolant, Lotti i Lefévre

— Głupstwo, nasz „Żółty ptak" przy problematycznym zderzeniu się z jakiemś skrzydlatem stworzeniem zabiłby je na miejscu.

— Sprawdź co to jest takiego, Lotti..

Wychyliłem się przez przedni otwór i jakież było moje zdziwienie, gdym zauważył żywego, białego chłopca przywiązanego do podwozia.

Właśnie zajęty był niezbyt estetyczną funkcją, której podlegają zazwyczaj osoby z morzem nieobeznane.

Krzyknąłem z całych sił. Nie słyszał. Minęło dobrych kilka minut zanim nieproszony gość zauważył, że został spostrzeżony.

Pierwszym jego odruchem było ukryć się jakoś. Wreszcie zrozumiał, że to jest niemożliwe.

Wciągnęliśmy go po lince. Była to jedna z najśmielszych akrobacji cyrkowych, które zdarzyło mi się widzieć w życiu.

Wyobraża pan sobie naszą wściekłość. Pozbawiamy się żywności, ciepłych okryć, mnóstwa użytecznych drobiazgów, redukując nasze potrzeby do minimum wszystko, by zmniejszyć ciężar płatowca, a tu pakuje się nam jakiś drab, ważący conajmniej 70 kg. W pierwszej chwili chcieliśmy wyrzucić go do morza.

Nie wytrzymałem. Wymierzyłem mu tęgiego klapsa.

— Leżeć między blaszankami — krzyknął Lefévre — jeśli nie chcesz do stu tysięcy djabłów zrobić wizytki rybom.

Zmniejszało to o jakieś 30 procent szanse szczęśliwego przelotu.

Wracać, oznaczałoby zaczynać wszystko na nowo. Lecieliśmy dalej.

Około godziny 9-ej ujrzeliśmy czarne, szybko zbliżające się ku nam kłębowisko chmur. Wydymały się, pękały, ziejąc coraz większą czernią. Ponure, wrogie.

Spojrzeliśmy na siebie. Burza! Trudności zaczynają się. Próbujmy górować.

„Żółty ptak" wznosił się teraz prawie pionowo w górę.

Nagle nastąpiło zderzenie.

Burza na oceanie jest czemś namacalnem, mającem swoją granicę, początek, podobnem do ściany, w którą się człowiek zagłębia.

Poczęło nami rzucać, kręcić, szarpać, miotać, jak gdyby płatowiec zaatakowany był przez stado czarnych ptaków. Mimowoli przypomniały mi się legędy o oceanicznych potworach.

— Może znów mamy jakiego nowego pasażera, Lotti? — żartował Lefévre.

— Dzięki temu wielbłądowi nie zdołaliśmy zgórować burzy — wycedził Assolant.

Podczas dwu godzin Atlantyk pokazał nam wszystkie swoje niebezpieczeństwa. Dwie godziny ciemności, szarpaniny, ryku głuszącego nawet łoskot naszego Hispano - Suizy, wichru, deszczu, błyskawic i piorunów. Ocean szalał.

W pewnej chwili zgasł nam motor i spadliśmy o dobre 1200 metrów.

Wynurzyliśmy się wreszcie z burzy wbijając się w jakąś białawą pąckę obłoków, nie widząc wciąż ani ziemi, ani morza.

Próbowaliśmy teraz nawiązać łączność z pobliskiemi okrętami.

Stacja T. S. F. (radjo) działała bez zarzutu.

Dowiedzieliśmy się, że pomimo burzy, nie zboczyliśmy z trasy, zbliżając się do archipelagu Azorskiego.

Była godz. 1-a w nocy. Przed samemi Azorami ujrzeliśmy na chwilę morze. Nie uwierzy pan,

Dokończ. wyw. na str. 6.

Start w dalszą drogę. Lotnicy francuscy żegnają się z naszym spółpracownikiem

jak przyjemnie było widzieć białe grzbiety fal, mieć coś realnego, na czem może odpocząć wzrok, nie czuć się ustawicznie zawieszonym w jakiejś próżni kosmicznej.

Trwało to niestety krótko. Znów daliśmy nurka w obłoki.

Dzięki owemu szalonemu Schraiberowi i walce z burzą zużyliśmy znacznie więcej paliwa, aniżeliśmy wyliczali. Trzeba było decydować się na lądowaniu w Hiszpanji.

Raz jeszcze spotkał nas przed samą Europą sztorm. Tym razem znacznie słabszy i mniej groźny.

O godzinie 6.20 wieczór lądowaliśmy w hiszpańskiej miejscowości Oyamba (maleńka wioska na wybrzeżu) po przebyciu 29 godz. i 40 minut w powietrzu.

Tłum rybaków otoczył nas. Towarzysze nie mówili ani słowa po hiszpańsku, musiałem więc służyć za tłumacza.

Podszedłem do najstarszego z rybaków.

— Lecimy z New-Yorku — powiedziałem.

W tłumie na chwilę zawrzało, poczem nastąpił powszechny wybuch śmiechu.

— O Dio! Uważa nas za warjatów! — ryczał jakiś czarny, rozczochrany drab.

Ogarnęła mnie wściekłość. Krzyczałem, tłumaczyłem, wymyślałem. Prosiłem żeby chociaż pomogli nam umieścić „Żółtego ptaku" w bezpiecznem miejscu.

Nikt nie chciał z nami gadać. Śmiali się bez przestanku. Zużyłem cały zapas znanych mi wymysłów hiszpańskich. Powtórzyłem go po raz, drugi. Nie odniosło to żadnego skutku. Wreszcie dowiedziałem się, że jesteśmy o 4 klm. od miasteczka Comillas. Wynająłem rower i pojechałem.

Niezbyt miło jest po takim locie tłuc się na rozklekotanym rowerze po kiepskiej drodze, przy blisko 40-stopniowym upale. Lecz nie było innej rady...

Trudno.

W Comillas nie wierzono mi również.

— Żart, kiepski żart, którego radzę zaniechać — powiedział mi nawet przedstawiciel porządku publicznego — jeśli nie chcesz pan być pociągniętym do odpowiedzialności za podszywanie się...

Dopiero spotkawszy francuskiego dziennikarza, obiecawszy mu nagrodę pieniężną za łaskawe obejrzenie samolotu i porównanie z rysunkami zamieszczonemi w pismach zdołałem stwierdzić nasze alibi.

Co nastąpiło później, trudno panu opisać.

Ryk burzy na Oceanie był podobny do kwilenia niemowlęcia przy piersi w porównaniu do ryku rozentuzjazmowanego tłumu hiszpanów.

Nie jedliśmy, nie spaliśmy, nie piliśmy, tylko przyjmowaliśmy powinszowania i objawy radości.

A później co? Paryż! Olbrzymie owacje! Pasmo triumfów i radości!

Po paru gorących dniach oprowadzaliśmy przedstawicieli wojsk zagranicznych (między którymi był oficer polski) po naszem lotnisku pokazując „Żółtego Ptaka".

— Co? — powiedział pewien kapitan angielski — w tak niewielkim pudle przelecieli panowie przez Ocean?

Przypomniał mi się syn amerykańskiego mechanika.

— — — — — — — — — — — —

Lotnicy francuscy prosili mnie, by za pośrednictwem „7 Dni" zapewnić nas o gorących wyrazach sympatji, które dla nas żywią.

— Cóż znaczą nasze wysiłki w *porównaniu z wysiłkiem majorów Idzikowskiego i Kubali.* Przyczem, jak wiadomo, szczęście nikomu nie dopisało w locie Europa — Ameryka.

W przyszłości zamierzamy spróbować. Nous verons!

— — — — — — — — — — — —

Głuche kaszlnięcie motoru.. „Żółty ptak" toczy się po zielonej trawce lotniska mokotowskiego.

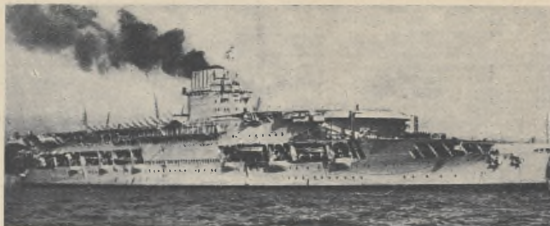
Przedstawiciele naszego lotnictwa z szefem departamentu płk. dyp. Rayskim i dowódcą brygady lotniczej płk. Beaurain na czele salutują francuzów.

My, cywile machamy chustkami i kapeluszami.

— Jednak — myślę sobie, patrząc na wzbijającego się „Żółtego Ptaka" — w takim pudle przez Ocean c'est formidable!...

Jerzy Lewestam.

U stóp Sjonu



Zaniepokojona szybkim rozwojem wypadków w Palestynie, Anglja, posłała tam poważne siły wojskowe. Na ilustracji — krążownik „Courageous" z przysposobieniem do startu aeroplanów

„Raj nawet przepojony jest miłością dla Jerozolimy". *(Koran).*

Przedziwne miasto... Domy dochodowe, sklepy, banki, ulice pełne różnojęzycznych tłumów, zgiełk samochodów... Wszystko, jak w każdem wielkiem mieście, a charakter wschodni — ten sam, co w Smyrnie, czy w Konstantynopolu.

Nad miastem dominuje wzgórze Sjonu, uwieńczono odwiecznemi murami twierdzy, wzniesionej za czasów pochodów Krzyżowych.

U stoku wzgórza wstąpić możemy (byle nie w święto, kiedy przed goimem zamkniętoby drzwi) do Hotelu Centralnego, dawniej Mediterranean Hotel, będącego miejscem spotkań wszystkich przejezdnych wyznawców Mojżesza, co nie mając ogniska domowego, śpieszą w każde święto uroczyste, by razem, u jednego stołu spożyć tradycyjną wieczerzę.

Tu, jedynie na świecie, od czasu słynnej deklaracji lorda Balfoura zmieniono treść rytualnych pieśń, w których żydzi opłakując wieczne tułactwo, błagają Najwyższego, by pozwolił im powrócić do ziemi Izraela.

Tu bowiem nadzieją wezbrały ich serca i tu, pjonierzy, odbudowujący ojczyznę, mogą już śpiewać:

„Jesteśmy w tym roku na ziemi Izraela,
a w roku przyszłym odbudujemy Sjon.
Wczoraj byliśmy niewolnikami,
a dziś święcimy przywróconą Wolność..."

Ściany okalające stare miasto Jeruzalem zostały zbryzgane krwią wielu ofiar

Naprzeciw hotelu — wzgórze Sjonu, z ciekawym domkiem muzułmańskim, ukrytym wgłębi ślepej uliczki, słynnej z tego, że na niej rośnie drzewo palmowe, zrodzone rzekomo z pestki, którą królowa Saba wyrzuciła z okna pałacu Salomona".

Naprzeciwko ciemnej uliczki wznosi się wieża Dawidowa z szarego ciosu, a za nią cała dzielnica niegdyś anglikańska. W dawnym pałacu biskupim mieści się dziś Banco de Roma.

Dalej, od miejsca gdzie stał wśród ogrodów pałac Heroda, ciągnie się dzielnica ormiańska.

Na szczycie wzgórza — wrota Sjońskie, a na przeciwnym stoku, wioska rodzinna proroka Dawida, Nebi-Daud, w której od wieków również krzewiona jest przez wyznawców Koranu dzika nienawiść dla niewiernych. A przecież nie gdzieindziej, jak w tej wiosce złożone są prochy Dawida obok wzniesionej przez chrześcian pierwszej bazyliki. Świątynia ta, zniesiona z ziemią przez Kalifa Hakema, twórcy religji Druzów, została odbudowana przez rycerzy krzyżowych, a za Saladyna przerobiona na meczet-mauzoleum.

Raz do roku na mocy specjalnego układu odprawiane jest w cichym kościele nabożeństwo. Na pierwszem piętrze zachowana jest komnata, w której Chrystus spożywał Świętą Wieczerzę, stołek (kursi), na którym siedział, stół (sutra), dokoła którego zebrali się Jego uczniowie.

Ze wschodniego stoku Sjonu droga wiedzie wdal, do Ogrójca. Poczyniono na tym świętym szlaku, męczeństwa Syna Bożego, poszukiwania i odkopano na głębokości około 12 m. ślady całej dzielnicy



Ekspedycyjny korpus angielski wylądował na wybrzeżu palestyńskiem

Typ dziecka arabskiego

Beduin z okolic Jerozolimy.

starodawnej Jerozolimy: kawał ściany, drogę okoloną kolumnami, willę rzymską, ulicę ze stopniami, wiodącemi ku ruinom starej świątyni z czasów Krzyżowych, do kościoła, zwanego Galli-Cantus (piejącego kura), który zbuddowano według podania na ruinach domostwa Kaifasza.

Idziemy dalej... Oto pole, zwane Hadelkama (pole krwi) zakupione na cmentarzysko żydowskie za tradycyjny grosz judaszowy. Droga stąd wiedzie ku dolinie Jozafata, gdzie płyty grobowe podniosą się kiedyś na zew trąby Archanioła. Ponure cmentarzysko, puste, bez ozdób na płytach kamiennych, bez kwiecia, świadczącego o pamięci żyjących...

Po drodze z doliny Cedronu ku Ogrójcowi — znów cmentarzysko, tym razem nietylko wyznawców Mojżesza, ale i Mahometa. Jedna obok drugich, splątane nawet napisy na rozsypanych szczątkach głazów grobowych.

Dochodzimy do miejsca, gdzie w cieniu ośmiu drzew oliwnych, modlił się Syn Boży, gdzie przeżywał ostatnie chwile Swego bolesnego żywota na ziemi.

Tysiące pielgrzymów, co rok rocznie, od wieków przybywają do Jerozolimy z całego świata, spotykają się w tem świętem miejscu, wszyscy skupieni w rozpamiętywaniu Męki Pańskiej.

A niedaleko, na wzgórzu — wioska muzułmańska, z białym minaretem meczetu, tuż obok dawnej świątyni Rycerzy Krzyżowych.

Z miejsca tego podziwiamy rozległą panoramę Jerozolimy. Oparci o ścianę meczetu, szukamy wzrokiem wśród ciasnych uliczek Ghetta linji potężnego muru z ogromnych ciosów, będącego zdaniem archeologów, jedyną pozostałością świątyni Salomona, przy którym co piątek zbierają się tłumy pobożnych żydów, zanoszących modły o odbudowanie Sjonu, o zebranie rozproszonych dzieci Jeruzalemu. Ściana płaczu pod którą szlochają nad swym losem potomkowie tych, co dawniej panami byli na tej ziemi...

Przedziwne miasto... Wyznawcy trzech wierzeń uważają Jerozolimę za świętą, ku niej, ku jej odwiecznym tradycjom i pamiątkom ściągają tysiączne rzesze z całego świata, tu, nieraz jednocześnie, celebrują uroczyste święta...

A tuż obok uniwersytetu hebrajskiego chylimy czoło przed małym cmentarzem wojskowym, na którym pochowanych jest obok siebie dwa tysiące żołnierzy, chrześcian żydów i muzułmanów, połączonych braterstwem krwi w obronie tej ziemi, którą wszyscy czcili narówni.

* * *

Czyż dzisiaj, kiedy angielscy politycy, mianujący się specjalistami od polityki na wschodzie, dali Sjonistom po tylu wiekach tułaczki podstawę do odbudowania na tej ziemi własnej Ojczyzny, ściana płaczu, zamieniona na ścianę krwi, jest właściwym powodem walk toczących się między Arabami a Żydami?

Muzułmanie wprawdzie oddawna żywili tradycyjną nienawiść do Żydów, a ściana płaczu narówni z innemi zabytkami historycznemi była niejednokrotnie przedmiotem zaciekłych sporów i krwawych zamieszek.

Czyżby jednak tylko o to chodziło?

Żywiołowe bunty, które od czasu do czasu wybuchają na wschodzie — najczęściej obrócone przeciw Anglikom — są zawsze otoczone nimbem tak ukrytej konspiracji, iż nie należy przypisywać znaczenia tej lub innej z jawnych jakoby przyczyn nieporozumień.

Walki w Palestynie zdają się być zapowiedzią groźnego ruchu panarabskiego. Nie mniej ważnym skądinąd wypadkiem jest, zdaniem polityków, wycofanie wojsk angielskich z Egiptu, a co za tem idzie pozbawienie kontroli nad kanałem suezkim. Wzniecanie buntów — tam nawet, gdzie niema dla nich powodów — to specjalność tych licznych emisarjuszów angielskich, którzy sami, odgrywając nawet rolę zbuntowanych (pułk. Lawrence), nie przestają otrzymywać zleceń z „Inteligence Service" w Londynie.

*

Ciekawą jest — nawiasem mówiąc — dyskusja, jaka została wywołana w politycznych kołach angielskich w sprawie wypadków palestyńskich. Oto konserwatywna opozycja atakuje rząd labourzystów, wytykając, nie bez słuszności, iż nie po to ewakuuje się Nadrenję, by wojska posyłać do Palestyny. Poruszono przy sposobności sprawę powierzenia mandatu nad Palestyną Stanom Zjednoczonym, gdyż, jak się okazuje, Żydzi amerykańscy najwięcej inwestują pieniędzy w tym kraju.

Oby nie pomyślano o Sowietach, a wszystko będzie w porządku i w myśl powszechnie panującej dziś zasady, iż gwiaździsty sztandar amerykański figurować musi wszędzie i przy każdej okazji...

Dodać należy na zakończenie, iż godne stanowisko, zajęte przez przedstawiciela Polski w Palestynie, gen. konsula, Tytusa Zbyszewskiego, który w miarę środków i możności serdecznie wspomaga ofiary krwawych zamieszek, zyskało mu ogólną wdzięczność i rozległo się szerokiem echem po całym świecie.

Znamienne „pendant" wobec ankiety, wszczętej w swoim czasie w Polsce za przyczyną Anglji w związku z rzekomemi pogromami w naszym kraju...

Arabowie patrzą zazdrosnem okiem na stopniowe zagospodarowywanie się Żydów, gdyż sami wolą zajmować się najwyżej pasterstwem
Wioska arabska u wrót Jerozolimy

MAX WIT.

Ślad

Hil Gilbert cenił tylko dwie rzeczy: sport rowerowy i swoich wierzycieli. Wszystko w życiu sprowadzał do tych dwuch bezsprzecznie jedynych i bezprzecznie ważnych mianowników.

— Wiek XX — mawiał, nie przyszedł ani z parą, ani z elektrycznością, ale wkręcił się na pedałach wyścigówki B. S. A., oto szlachetna, godna sportowca maszyna. Uderzał wtedy z rozmachem w jedyne patentowane siodełko marki „Ursus" z taką siłą, że doskonałe, nie mniej patentowane, wentyle „Dunlopa" z ciężkiem westchnieniem pękały boleśnie, a piękna, niezawodna maszyna osiadała na oklapło pneumatyki.

— Oto siła — cieszył się, a w nogach proszę patrzeć — i pokazywał obecnym swe spiżowe udo, jedyne zresztą bezprzecznie własne dobro, którem rozporządzał tak samo nieumiejętnie, jak swoim majątkiem. Złamał je dwa razy nad kolanem i zawsze na tym parszywym wirażu w Upton, gdzie prześladował go odwieczny pech.

Właściwie wszystkiemu był winien ten ohydny małpiarz Bob Halmes, agent rowerowy. Hil był mu już winien za trzy zniszczone maszyny i ledwie go spostrzegł na trybunie, tuż przy wirażu, dał się porwać pasji:

Więc mnie śledzi to bydlę Halmes, udające Szerloka Holmesa. Niech go sto tysięcy djabłów porwie w kawały. Ale szatany wolały wielką duszę Hila od małej duszyczki Halmasa, więc... Gilbert leżał ze złamanem udem na strzaskanej ramie czwartej patentowanej maszyny B. S. A. A Halmes skropulatnie wpisał do notesu pod nazwiskiem Hila 50 dolarów, razem 200 à conto O. Uśmiechnął się tajemniczo i wetknął w specjalnie wybitą dziurę między zębami ogryzioną fajkę według nieśmiertelnego wzoru Szerloka Holmesa. Oto wyśledził nieuchwytnego Gilberta, złamał wprawdzie udo i rower, przegrał wyścig, ale otrzyma odszkodowanie asekuracyjne. Halmes wyśledził tę prawdę już bardzo dawno, poprostu wyczytał ją w ustawie klubu „Rapid" do którego należał wielokrotny mistrz Gilbert, nie przeszkadzało to przecież Bobowi zapisać ten fakt na poczet swych wyjątkowych śledczych poczynań. Można więc odebrać należne 200 dolarów z tych 500, które otrzyma Gilbert, 20 zostanie dla Boba, to znaczy: nowa sportowa czapka w kratę, szkocki szal w kratkę i tamta wiśniowa fajka, jedyna w swoim rodzaju, taką samą miał Holmes, prawdziwy Holmes, którego on Halmes był jedynym uczniem i naśladowcą w dobie absolutnego upadku czystej, śledczej sztuki.

Bob był cierpliwy. Nie zgłosił się po należność ani następnego dnia, ani po trzech dniach, ani nawet po tygodniu, zgłosił się dopiero do dwuch tygodniach, gdy wyśledził swoim zwyczajem, że polisa asekuracyjna została ranionemu spłacona. Ale został z niczem. Gilbert by w szpitalu, w gipsie i w boleściach, tak przynajmniej oznajmił cerber jego domu, dozorca Hobes Stuck, odwieczny przeciwnik Halmasa, t. j. od czasu urodzin Marjon. Zresztą Bob przyrzekał sobie ze Stuck'iem walną rozprawę przy odbiorze ostatniej raty za dziecinny wózek Marjon na wspaniałych rowerowych pneumatykach, zakupiony przez Stuckową w uniwersalnym domu handlowym Halmasa. Stuck był jak zawsze spokojny, ale Bob zgrzytał dziurą w zębach o nadżarty trzonek starej, cuchnącej fajki i miał dlaczego.

I byłoby wszystko dobrze, gdyby nie firma, która wysłała go do Orleanu z ważnem poleceniem i naganą za opieszałość wobec dłużników. Pełen rozpaczy wyjechał posłusznie, klnąc na czem świat stoi i knując tysiączne podstępne plany.

Wrócił po 30 dniach i 6 godzinach nieobecności, Ledwie złożył raport z pomyślnie załatwionych interesów i odebrał z kasy 50 dolarów wyznaczonej gratyfikacji, pognał do kliniki, aby się dowiedzieć co słychać z Gilbertem.

— O mój panie, uśmiechała się biała siostra. Pan Hil już od tygodnia wypisany. Przemiły człowiek, dodała słodko, zatrzaskując drzwi przed nosem Boba.

— Ścierrrwo — strzyknął przez dziurę wybitych zębów. Pośpieszył teraz do domu Gilberta.

— Mam go, myślał radośnie, mam, już mi nie ujdzie.

Zastąpił mu drogę przeklęty Stuck.

— Hallo Panie Halmes, dokąd?

— Do Gilberta, bałwanie, szczeknął krótko Bob.

— Oho! Otóż to właśnie go niema, przecież pojechał wyprobować nową maszynę A.E.G. zmienił markę. Wprawdzie zapłacił gotówką, ale rowerek cud. Teraz tak łatwo jak na waszych pedałach nóg nie połamie. — Cieszył się jadowicie Stuck. Bobowi pociemniało w oczach.

— Więc A. E. G. powiadasz!, ryknął i zmierzył Hobesa Stucka piorunem spojrzenia od grzbietu pyrkatego nosa po same końce barokowo wypiętych trzewików.

Na wilgotnej ziemi u stóp starego dostrzegł wyraźny, cudnie zarysowany ślad Continentala. A. E. G. protegował jak wiadomo tylko Continentale.



— Więc Gilberta niema w domu — ciągnął uparcie.

— No, chyba, przecież wyjechał.

— Wyjechał, powtórzył machinalnie Halmes, oceniając wytrawnem okiem świeży ślad.

Czyżby wyjechał na dwóch rowerach, wnioskował błyskawicznie, ślad jest podwójny. Nachylił się nad nim i ku niewymownej uciesze Hobesa, wetknąwszy fajkę w dziurę między zębami węszył, jak pies na tropie.

— Gdyby wyjechał, ślad kół byłby pojedyńczy ponieważ jest podwójny, musiał więc już wrócić, konkludował bystro, to było niezawodne. Wyprostował się i mierząc Hobesa Stucka okiem bazyliszka palnął:

— Łżesz błaźnie! — Hil Gilbert jest u siebie i dumnym krokiem przesunął się obok dozorcy, a potem z zaciśniętą na czoło czapką, kocim ściegiem popiął się w górę. Gwałtownie pchnął drzwi i stanął w pokoju Gilberta.

Rzeczywiście Hil rozwalony na tapczanie przerzucał tygodnik sportowy. Oparta o ścianę błyszczała nowa maszyna A. E. G. na białych Continentalach z konikiem. Halmes puchł z tryumfu, w tej chwili był równy swemu wielkiemu imiennikowi Holmesowi, to było więcej może warte, niż 200 parszywych dolarów niewypłacalnego Gilberta.

— Szacunek — wstał tymczasem Hil. Kupa lat, kupa lat panie Halmes. Cóż tam nowego?

— Nic nowego Panie Gilbert, przychodzę po gotóweczkę, 200 dolarków mój panie, darujemy procenty, słodził. Nie udała się sztuczka z wyjazdem, na nic kłamstwa Hobesa, odrazu poznałem po podwójnym śladzie, żeś pan wrócił.

— O, dziwił się łagodnie Hil, po podwójnym śladzie? czego, jeśli można wiedzieć.

— No, oczywiście roweru — ciągnął zimno, bijąc na efekt Bob i po Continentalach, protegowanych przez A. E. G. — ukłuł, oto są rzeczy niezawodne mój panie Gilbert, więc dosyć komedji, proszę o pieniążki.

— Doprawdy — cieszył się perfidnie Hil — zuch z pana, co za kapitalne wnioskowanie — usiadł przy tem i z nieopisanym zachwytem wpatrywał się w Halmesa.

— Zaiste. Sztuka godna Szerloka Holmesa — nigdybym nie wykrzesał z siebie podobnej logiki. Zupełny Holmes — szepnął niby do siebie.

— Niech pan się rozgości, podejmował tymczasem Hil. Więc 200 dolarów powiadasz. Głupstwo to się zapłaci. Ale że z takim talentem handluje się rowerami, to doprawdy obraza Boża. Nigdybym nie wpadł na ten pomysł — powtórzył znowu pełen zachwytu.

Mógłby pan chyba wiele opowiedzieć o sobie, co?

To głupstwo, zatarł Bob z dziwacznym rumieńcem, mógłbym opowiedzieć rzeczy od których włosy wyłażą z głowy i poczuł, że musi coś opowiedzieć Hilowi. Pal pies 200 dolarów, odbierze je jutro, nie mógł przecież niszczyć wytwornego nastroju.

— Zejdźmy do baru, zaproponował lekkomyślnie, opowiem panu parę niezgorszych kawałków.

— Doskonale — zgodził się Hil.

Zeszli ze schodów w przykładnej komitywie. Bob Halmes opowiadał gorączkowo. Hobes Stuck dziwił się poraz pierwszy w życiu.

Po północy wracali zachwyceni sobą.

— Daj pyska chłopie, gadał Halmes, daj pyska przyjacielu jedyny, tyś mnie pierwszy ocenił i zrozumiał. Ucałowali się gorąco.

— Jestem w tej chwili najszczęśliwszy z ludzi konkludował zupełnie wzruszony, proś o co chcesz wszystko uczynię.

— Hil Gilbert zmarszczył czoło w głębokiej zadumie i wyrażając zgodę, na odczepne zaproponował:

Pożycz 50 dolarów, muszę przecież opłacić moją nową A. E. G. Przyrzekam ci serce, że gdy na niej kark skręcę, wrócę do twoich Beesów.

Bob wepchnął Hilowi pięć banknotów w rękę, wolał to zrobić szybko, bez zastanowienia, zresztą czegoby nie uczynił dla przyjaciela.

Żegnali się długo, serdecznie przyrzekając wieczystą przyjaźń.

Bob Halmes odchodził tanecznym krokiem w białawem świetle księżyca.

— Hallo Bob! przywołał go Hil, powiedz no przyjacielu, gdzieś to widział owe rowerowe ślady?

Kochany chłop, ucieszył się Halmes, jakże go wszystko interesuje.

— Tutaj — i pochylił się nad przytartą, lecz jeszcze widoczną koleją, wyżłobioną przez pneuma tyki. Tknął palcem obydwie.

— Oto, tu i tu, proszę.

Hil przyjrzał się śladom i buchnął szalonym, spazmatycznym śmiechem. Cha! cha! cha! ryczał waląc się pięściami po piersiach. Cha! cha! Przecież to ślad wózka Stuckowej. Patrz oto wózek małej Marjon, tam pod werandą. Sameś go sprzedał na raty. Cha! cha! cha! Stuck oświadczył, że mnie niema w domu, bo tak powiedzieć kazałem. Dusił się prawie od śmiechu. Ja wcale z domu nie wyjeżdżałem, zakazano mi jeszcze miesiąc pedałować, zresztą powinieneś był zauważyć, że opony mego roweru, są nieskazitelnie białe, nieprzejechane. Zanosząc się wciąż od śmiechu, wlazł po schodach, zostawiając zmartwiałego Boba nad śladem.

— Dziękuję za 50 dolarów panie Bob Halmes! Dziękuję! Stary bałwanie! ryczał przez okno swego pokoju. Dziękuję!!!

Bob Halmes wypluł cuchnącą fajkę Szerloka Holmesa i wdeptał ją w ziemię.

— Bandyta. — Splunął i wpisał do swojej książeczki handlowej:

— Hil Gilbert 250 dolarów à conto O.



Dolina rzeki Prutu

Karpaty wschodnie: góra Zenice

Ze Stanisławowa do Worochty

Sierpień 1929. r.

(Korespondencja specjalna „7 Dni")

Kiedy po kilkugodzinnej, nudnej wegetacji w wagonie, zatrzymujemy się nareszcie w Stanisławowie, pasażer i lokomotywa czują się mocno zmęczeni. Jeszcze lokomotywie dzieje się lepiej, bo maszynista pozwala jej odpocząć chwilę i drobnym truchcikiem dążyć aż do granicy czesko-słowackiej, do Woronienki. A biedny pasażer pociesza się jedynie nadzieją, że maluczko, a zaraz cudowna panorama pięknych gór, pozwoli mu zapomnieć o zmęczeniu, niewyspaniu i t. p. drobiazgach.

Więc wolniutko sunie lokomotywa, ciągnąc za sobą szereg wagonów, w których duszą się mieszczuchy, spragnione słońca i odpoczynku.

Z początku jedziemy przez równiny, a tylko gdzieś w oddali majaczą kontury łagodnych zboczy, pokrytych lasami. Jakiś wodospad w szalonym pędzie spada nagle aż do podnóża nasypu kolejowego i ginie, ukołysany pieszczotą małego strumyka. Gdzieniegdzie migają spalone kadłuby domostw — smutne szczątki niezbyt odległej i niezapomnianej wojny...

Zmęczenie ucieka. Szerokie łany lasów zbliżają się do nas, biorą w ramiona czarny pociąg, nucą dumki i szepcą do ucha zapomniane legendy, aby niezadługo pchnąć go w szeroką, słońcem zalaną dolinę Prutu.

Mijamy szerek wiosek, aż wreszcie z szumem i hałasem pociąg zatrzymuje się na dużej stacji, w Jaremczu, (przezywanej „Jarmułczem", z powodu wielkiej ilości żydów).

Jaremcze położone jest w dolinie Prutu, może w najładniejszej części Podkarpacia; posiada ono stosunkowo kulturalne urządzenia, jak oświetlenie elektryczne, samochody, autobusy, kawiarnie i t. d. Miejscowy zarząd, niechcąc zapewne, aby letnicy wchłaniali w siebie zbyt wielką ilość kurzu, polał szosę jakąś czarną cieczą, wydającą bardzo niemiłą woń nafty. I krzywi się żyd i nieliczny katolik, zapominając narazie o panującem tu antysemityzmie. Więc uciekamy coprędzej w bok, a stając niezadługo w obliczu wspaniałych wodospadów, zapominamy szybko o wszelkich brakach Jaremcza czy Jarmułcza, oczarowani, pochłonięci pięknem, które stworzyła cudowna natura i łaskawie nam je podziwiać zezwala...

Ale jedziemy dalej i zatrzymujemy się wkrótce na małej stacyjce, noszącej dziwną dość nazwę: Kamień Dobosza. Do owego Kamienia Dobosza przyrosła legenda o odważnym, walecznym rozbójniku, Doboszu, ukrywającym się w okolicznych pieczarach. Cała ludność Podkarpacia ochraniała go, myliła poszukiwania władz i ocaliła swego bohatera przed karzącą ręką sprawiedliwości. Po śmierci Dobosza usypano mu kopiec, zakończony krzyżem kamiennym. Gdy szyny kolejowe połączyły całe Podkarpacie ze Lwowem, mała wioska, w której ongiś żył i umarł Dobosz, została nazwana imieniem rozbójnika.

Mijamy Delatyn, znany ze swych dobroczynnych solankowych kąpieli, zwabiających dużą ilość publiczności, Mikuliczyn, Jamnę, Podleśniów i zatrzymujemy się na małej, niepozornej stacyjce, w Tatarowie, malowniczym zakątku Podkarpacia. Miejscowość ta otoczona jest ze wszystkich stron górami, które osłaniają ją przed wiatrami i zimnem. W dolinie ciągnie się srebrzysta wstęga wartkiego Prutu, który pędzi po kamieniach hen, z gór, wdal ku nizinom.

Pociąg wolno, lecz wytrwale dąży w górę. Sapie, jęczy, lecz wie, że niezadługo nastąpi kres jego długiej, uciążliwej wędrówki w Worochcie. Już mu nie grożą więcej tunele, z których jeden łączy Jaremcze z Kamieniem Dobosza, a drugi Mikuliczyn z Delatynem. I rzeczywiście zatrzymujemy się nareszcie w Worochcie, ostatniej klimatycznej stacji Podkarpacia.

Worochta, pod względem wielkości, zajmuje wśród pereł Podkarpacia pierwsze miejsce po Jaremczu. Niczem się zresztą nie różni od siostrzanych jej letnisk: może posiada tylko nieco mniej urocze położenie, ten sam zresztą brak kulturalnych urządzeń i... mocno przesolone ceny. Zapomina się wszakże prędko o wszelkich niewygodach, gdy ze szczytu Chomiaku (1240 m.) lub wyższej Howerli podziwia się cuda, tchnące pięknością i otulone czarem dzikiej, nieokiełznanej natury. Niestety! I tutaj świętą ciszę górską mącą hałaśliwe wycieczki. A panna Salcia wyśpiewuje z zapałem: „nie kładź palca..." Więc chciałoby się jej poradzić, aby go już nareszcie włożyła, ale byle cicho...

Rdzenni mieszkańcy Podkarpacia, huculi, zachwycają nas jaskrawą barwnością odzieży, zrobionej z samodziału. Kobiety noszą długie, białe koszule, przewiązane w pasie dwoma fartuchami: jednym jaśniejszym, zakładanym z przodu, drugim ciemniejszym (przypominającym nieco spódnice, noszone przez mieszkanki z okolic Krakowa) — z tyłu. Na szyi mają wiele sznurów paciorków, wśród których znajdzie się zawsze naszyjnik z dawnych monet austrjackich. Mężczyźni są ubrani ciemno. Jedyną jasną plamę tworzy biała koszula, ślicznie wyszyta czerwonym haftem i barwne, samodziałowe skarpety.

Huculi kierują się w życiu wygodną dewizą: *ubi bene, ibi patria*, a ponieważ Polska (czytaj letnicy) dostarcza im lekkiego zarobku, nie dziw więc, że odnoszą się do nas życzliwie. Hucuł jest zresztą bardzo leniwy i woli zredukować swoje potrzeby do minimum, byleby tylko nie pracować. Mieszka on w licho skleconej chacie, pozbawionej komina, a dym wydobywa się przez otwór w dachu. A nie należy zapominać, że hucuł jest bardzo zdolny, że jest doskonałym cieślą z Bożej łaski, i, gdyby tylko chciał się uczyć i pracować, stałby się wspaniałym zaiste architektem. Pozatem wykonywa on prześliczne, artystyczne przedmioty z drzewa, za które naturalnie obdziera letnika żywcem ze skóry. Letnik jęczy, lecz płaci, a hucuł radośnie zaciera ręce i próżnuje w dalszym ciągu. Gdyż pracuje on tylko wówczas, gdy go bieda zaczyna dusić. Woli, po stokroć nic nie robić, żywić się płodami, których mu nie skąpi matka-ziemia i urozmaicać sobie życie na swój sposób.

Chociaż wielożeństwo, naturalnie, nie istnieje i hucuł ma tylko jedną „żinkę", lecz prawo nie może mu przeszkodzić wchodzić w liczne nielegalne związki z tem większą łatwością, że czem hucułka ma więcej „przyjaciół", tembardziej jest ceniona i kochana przez swego „człowika".

Dodać wreszcie należy, że pod płaszczykiem współdzielni i związków zawodowych kryją się komuniści, węsząc, gdzie łatwy żer do zdobycia. Największą atoli przeszkodą szerzeniu się tej zarazy stanowi piękna, uśmiechnięta twarz hucuła i jego niezłomna dewiza: *ubi bene, ibi patria.*

St. Osińska



Malownicza grupa hucułów w strojach narodowych

Z teki karykaturzysty



Wanda Wermińska



Olga Olgina



Halina Leska



Rotter Jarnińska

Pour le journal Polonais
„Siedem dni"
Yours
Elean Van Hueson
Elisabeth Simon

(Korespondencja własna „7 DNI")

Vichy — wielka światowa stacja klimatyczna — przeżywała w tych dniach nielada sensację: zjechały tu 2 królowe piękności: miss America i miss Europa. O niczem więc innem nie mówiono, przestano się nawet interesować osobą Szalapina i króla portugalskiego, który całemi godzinami lubił przesiadywać w Kasynie w sali bakarata i... nie miał wielkiego szczęścia, ani też murzyńskiemi, lub arabskiemi pięknościami, tak licznie w tym roku tu zaprodukowanemi.

Miss Europa i miss Ameryka były na ustach wszystkich.

Dwie te młode panienki, tak strasznie reklamowane, sprawiły mi wielki zawód. Myślałem, że doprawdy zobaczę piękności, a tymczasem: są bardzo miłe i przystojne, ale do piękności chociażby miss Polonji, ani się nie umywają! A już wystający podbródek miss America jest wprost karygodny. Pierwsze pytanie, jakie mi obie zadały na wielkim balu, wydanym na ich cześć było: jak się miewa miss Polonia?" i prosiły o przesłanie jej pozdrowienia, co też w ten oto sposób staram się spełnić.

Przyjęciom, balom i wycieczkom nie było, oczywista, końca. Obie miss są już mocno zmęczone i dość mizerne, bo rozrywane wprost i oprowadzane wszędzie, a naturalnie za każdym razem muszą zmieniać tualety, których im dostarcza wielki krawiec paryski, Mag Helly, dostawca wszystkich dworów. Toalety ich są prawie wszystkie utrzymane w jasnych barwach o odcieniach niebieskich i różowych. Wieczorowe z gazy, lub crêpe-satin, dzienne z crêpe de chine'u. Suknie fantazyjne z długiemi bokami i ogonami, plecy mocno wycięte, pasek powyżej talji. Oto ich suknie wieczorowe. Obie mają długie włosy, gładko za uszy zaczesane, brwi wygolone, a zamiast nich cieniutkie linijki, zrobione ołówkiem. Pozatem szminki używają bardzo dyskretnie. Miss Europa jest jasną blondynką, a miss America trochę ciemniejsza.

Na jednem z przyjęć zwierzały mi się, że są nieszczęśliwe, bo ciągle muszą teraz przebywać w towarzystwie starych panów, odpowiadać ciągle na te same pytania i wiecznie się przebierać, a one takby chciały potańczyć z młodymi, lecz niedostępnymi chłopcami.

Nie bardzo wesoła jest dola królowych piękności...

Stefanja Kurleto





Miss Europa i Miss Universum po konkursie piękności w Deauville, na którym jury przyznało pierwszeństwo... obu kandydatkom, zostały zaproszone do francuskiej miejscowości Vichy, skąd nadesłały pozdrowienie czytelnikom „7 Dni".

Rzeczy ciekawe

Radjotelefon na morzu, orjentacja zapomocą radja, niewidoczne światło latarni morskiej.

Jeśli postęp techniki w ogólności sprowadził nową epokę kultury, to szczególnie rozwój tak zwanej teletechniki stał się jednym z podstawowych filarów naszego współczesnego, ludzkiego obrazu świata.

Jakie nieograniczone wprost możliwości istnieją dziś dla zastosowania fal elektromagnetycznych! W odległości promienia kuli ziemskiej od świata cywilizowanego trwają już od 10 miesięcy amerykańscy badacze pod wodzą komandora Byrda wśród lodów i pingwinów południowej Antarktydy. A jednak stale są informowani o wszelkich sprawach aktualnych, a ze swej strony donoszą o przebiegu swych prac, trybie życia, swej polarnej doli i niedoli.

To wszystko umożliwiło radjo.

Nie mówiąc już w tym wypadku o fenomenalności samego wynalazku, trudno sobie wprost wyobrazić, jak duży zapas sił moralnych mieści się dla członków wyprawy Byrda w aparacie radjowym. Przypuszczam, że mimo doskonałego wyekwipowania wyprawy we wszystkie przedmioty potrzeby, a nawet zbytku, żaden z tych dzielnych badaczy nie wytrzymałby dziesięciu miesięcy na białym lądzie, gdyby nie odczuwał codziennie łączności z ojczyzną.

Wrażenia, jakich doznaje człowiek podczas eksperymentów naukowych lub też wypraw odkrywczych, mają tylko wtedy znaczenie, o ile można je natychmiast notować względnie podawać do wiadomości ogółu. Radjofonja umożliwiła porozumiewanie się lotnika z ziemią przy pomocy telefonu bez drutu. Zasięg rozmowy sięga 12.000 stóp. (The New Jork Times)

Byrd zbudował małą stację odbiorczo-wysyłającą na lądzie Antarktydy.

Radjotelefonja uczyniła jednak ostatnio takie postępy, że można utrzymać łączność na drodze radjo-telefonicznej pomiędzy okrętami odległemi od siebie kilkaset kilometrów. Okoliczność ta ma ogromne znaczenie dla rybołóstwa morskiego. Ostatnio właśnie zaopatrzyło jedno z towarzystw okrętowych w Hull statki swoje w aparaty nadawcze o sile ¼ kilowata. Cały aparat jest tak urządzony, że nie wymaga specjalnej opieki, zaopatrzony jest tylko w dwie korby do wyłączania i włączania jego oraz głośnik. Rozmowy telefoniczne zapomocą tego zupełnie pojedyńczego aparatu można przeprowadzać na odległość 640 kilometrów!

Na wielkie łowy wybiera się zwykle cała eskadra okrętów, przyczem oczywiście stałe porozumienie się poszczególnych komendantów jest koniecznie potrzebne. Zwłaszcza, gdy okręty zapuszczają się daleko na południe, wgłąb antarktycznych regjonów, na połów wielorybów, stała łączność telefoniczna jest niezbędną, albowiem jeden z okrętów może napotkać na swej drodze stado owych olbrzymich ssaków wodnych a wspólne łowy mogą przynieść znacznie większe plony. Kilka angielskich i norweskich okrętów zostało już zaopatrzonych w tego rodzaju radjostacje, przyczem zanotowano między innemi fakt, że okręt „Sir James Clark Ross" usłyszał rozkazy dane z odległości 3200 kilometrów z głównej stacji łowów.

Wszystkie te udoskonalenia oczywiście nie wychodzą na dobro biednym wielorybom, które swem życiem opłacają postępy techniki. Nawiasem wspomnimy jeszcze przy sposobności, że niedawno jeszcze przy łowach tego rodzaju używano harpunów, wyrzucanych z łuków. Dziś oczywiście czynią to małe armatki, a harpuny połączono z prądem o wysokiem napięciu. Okazało się, że wieloryby nader wrażliwe są na działanie prądu i natychmiast zostają zabite.

Poza celami porozumiewawczemi radjo na wodach oceanicznych ma inne jeszcze zadanie. W bliskości biegunów magnetycznych, naprzykład, tam gdzie znajdują się najlepsze obszary dla łowców wielorybów, kompas przestaje być wystarczającym przewodnikiem, gdyż igła często nie wskazuje jednego kierunku, waha się stale, lub wcale się nie porusza.

W tych okolicach więc radjo dostarcza jedynie wzkaźników orjentacyjnych.

Nowy sposób wskazywania drogi do portu w nocy, lub w czasie mgły stosują Francuzi w porcie Havre. Dojazd jest tam o tyle uciążliwy, że morze jest przed portem dość płytkie, dla okrętów oceanicznych istnieje więc kanał podwodny oznaczony odpowiednio we dnie; gorzej sprawa się przedstawia w mglistą noc.

Urządzenie radjowe komendanta Aicardi w tym wypadku doskonale przezwycięża tę trudność. Przy jego aparacie zastosowano dwie anteny, których fale eteryczne częściowo się znoszą, częściowo zaś wzmacniają. W ten sposób powstaje pewnego rodzaju sieć linij minimalnego i maksymalnego natężenia energji falistej. Okręt, poruszając się po tej sieci bezpiecznie znajdzie drogę do portu. Promień działania aparatu Aicardiego wynosi 40 do 80 kilometrów.

Pierwszy raz spróbowano nowego urządzenia we wrześniu 1927 roku na pokładzie wielkiego parowca *Isle de France*, wówczas, gdy generał Ferrié wraz z delegacją francuską udał się na konferencję międzynarodową do Washingtonu. Wynik był tak doskonały, że po powrocie złożył generał raport do akademji nauk ścisłych.



Mr. Aylesworth, król światowy radjofonji.

Ostatnio wyłoniła się nowa możliwość kierowania okrętem nawet poprzez mgły metodą optyczną. Wynalazek ten, zdobycz słynnej Westing House Electric Co, oraz francuskiego fizyka Fournier-Cema, polega na stosowaniu własności komórki światłoczułej. Od czasów zbadania selenu wiemy, że istnieją ciała, których opór elektryczny jest zależny od jasności źródła świetlnego, jakiem naświetlamy te ciała. Na podstawie tych naszych wiadomości zbudowano komórki światłoczułe, czyli tak zwane fotocele, które reagują na najmniejszą zmianę jasności.

Na tem jednak jeszcze nie koniec!

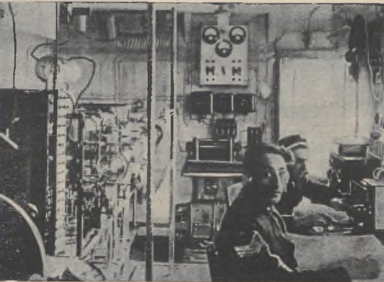
Wspomniany Fournier-Cema udoskonalił fotocelę w ten sposób, że reaguje nawet na światło ultraczerwone, niewidoczne dla naszego oka.

Promienie pozaczerwone odznaczają się tą własnością, że przechodzą nawet przez mgłę, ulegając pochłonięciu w małym tylko stopniu. Jeśli więc nad brzegiem morza znajdować się będzie latarnia morska, wysyłająca światło pozaczerwone, a na samym okręcie czuwać będzie fotocela, reagująca na infraczerwono promienie, wtedy nawet, mimo nocy i mgieł, przy bezgwiezdnym widnokręgu, w kompletnej ciemności sygnały latarni morskiej, niewidoczne ludzkim oczom, umożliwią parowcom dotarcie do brzegu.

Nie wiem, czy wypróbowano już pomysł francuskiego fizyka, wiem jednak, że cały szereg innych zastosowań fotoceli dał fenomenalne wprost wyniki. Należy więc przypuszczać, że i w tym wypadku fotocela nie zawiedzie.

Człowiek otoczył się zastępami dobrych duchów, sił przyrody, które bezpiecznie prowadzą nas wśród ciemności do celu i przeznaczenia.

Dr. F. Burdecki.



Włoski okręt „Cita de Milano" wysłany swojego czasu na poszukiwanie wyprawy Nobilego porozumiewał się przy pomocy specjalnej aparatury z rządem włoskim. (Wide World)



Okręt „Isle de France", na pokładzie którego zmontowano specjalną stację radjofoniczną nadawczo - odbiorczą dla porozumiewania się z giełdami Ameryki i Europy. (Atlantic)


Nr. 71. Jacuś Grubiński (Warszawa)


Nr. 72. „Zosia" (Gostynin)


Nr. 73. Marja Danuta Machuderska. (Warszawa, fot. Malarski)


Nr. 74. Ryś Zmorzyński (Drohobycz)


Nr. 75. Nusia Pieńkowska (Warszawa)


Nr. 76. „Irenka ze Śródborowa"


Nr. 77. „Nasz Dyplomata" (Warszawa)


Nr. 78. „Pieszczocha ciociuni" (Zawiercie)

Wydawnictwo „7 DNI" oraz fabryka znakomitej czekolady „SUCHARD" ogłaszają

WIELKI KONKURS

„NAJPIĘKNIEJSZE DZIECKO POLSKIE"


Nr. 70. „Hanka P." (Poznań)


Nr. 69. „Niuśka S." (Warszawa)


Nr. 68. Doliwa - Jędrek (Warszawa, fot. Malarski)

KONKURS NAJPIĘKNIEJSZEGO DZIECKA POLSKIEGO „7 DNI"
Kupon z Nr. 33-go.


Nr. 64. Marja Benito Moskwa, (Lwów)


Nr. 63. „Ludek" (Warszawa)


Nr. 62. Krystyna Janina Paroszkiewicz (Warszawa)

WARUNKI

1) Fotografje konkursowe pięknych dzieci polskich w ilości nie większej nad dwa zdjęcia jednego dziecka nadsyłać winni rodzice lub opiekunowie pod adresem Wydawnictwa „7 DNI".

2) Format tych fotografij nie może być mniejszy niż 6 na 9 cm.

3) Każda fotografja winna zawierać na odwrocie wyraźnie wypisane: a) imię, nazwisko i datę urodzenia dziecka, b) nazwisko i dokładny adres rodziców, c) godło w razie nieujawnienia nazwiska dziecka.

4) Do każdej fotografji należy dołączyć: a) odpowiedni kupon, wycięty z „7 DNI", oraz b) etykietę (opakowanie papierowe) 100-gramowej tabliczki czekolady „SUCHARD" z jednego z następujących gatunków „VELMA", „MILKA", „MILKA AMERE", „MILKA NUT", „ST. BERNARD", „JUBILEUSZOWA", „CAFOLA", „ORANGE", „VELNUT" lub „BITTRA", albo opakowanie 100-gramowej paczki kakao „SUCHARD".

5) Termin nadsyłania zgłoszeń wraz z fotografjami, kuponami „7 DNI" i opakowaniami „SUCHARD" upływa nieodwołalnie dnia 1-go października r. b. o godz. 24-ej (o północy).

6) Czytelnicy „7 DNI" sami, na podstawie umieszczonych w „7 DNIACH" fotografij wyróżnionych przez jury, wybiorą „Najpiękniejsze Dziecko Polskie", które otrzyma 1-ą nagrodę. Pozostałe nagrody rozdzielone zostaną stosownie do ilości głosów.

7) Jury kwalifikować będzie nadesłane fotografje do umieszczenia na łamach „7 DNI". Kontrolę nad plebiscytem Czytelników i rozdziałem nagród sprawować będzie notarjusz Mieczysław Różycki.

BEZPŁATNE ZDJĘCIA KONKURSOWE.

Następujące Zakłady Fotograficzne dokonują bezpłatnych zdjęć dzieci naszych Czytelników, biorących udział w konkursie „7 DNI": *Warszawa* — Jan Malarski, Chmielna 10; *Kraków* — Fot. „Janina", Starowiślna 21; *Lwów* — Zakł. Fot. „Grottgera", Akademicka 3; *Zakopane* — Fot. Schabenbeck, Krupówki; *Rabka* — Fot. „Janina"; *Iwonicz i Rymanów* — Zdrój — Fot. Grottger (ze Lwowa).

GOTÓWKĄ

10.000 ZŁ. NAGRODY



NAGRODY

DLA MATEK NAJPIĘKNIEJSZYCH DZIECI:

1 *Nagroda:* 3 000 złotych,
2 *Nagroda:* 1 000 złotych,
3 *Nagroda:* 750 złotych,
4 *Nagroda:* Maszyna do szycia „Singera".
5 *Nagroda:* Aparat kinematograficzny Pathé Baby z kasetą, filmem i statywem.
6 *Nagroda:* Gramofon „Dancephon" z 5 płytami,
7 *Nagroda:* Mebelki dziecinne z „Komispolu",
8 *Nagroda:* Aparat fotograficzny „Kodak",
9 *Nagroda:* Piłka skórzana do napompowywania z „Komispolu",
10 *Nagroda:* Wieczne pióro „Platignum" z „Komispolu".

UWAGA: Nagrody pieniężne będą wypłacone w postaci książeczek oszczędnościowych P. K. O.

DLA CZYTELNIKÓW „7 DNI".

(Nagrody poniższe zostaną rozlosowane wśród wszystkich Czytelników „*Siedmiu Dni*", którzy wezmą udział w plebiscycie drogą nadesłania głosu na dziecko, zasługujące ich zdaniem na 1-ą nagrodę).

1 *Nagroda:* 2 000 złotych,
2 *Nagroda:* Kompletny radjoaparat „Natavis" wartości 1 500 złotych,
3, 4 i 5 Nagrody: po 500 złotych,
6, 7 i 8 Nagrody: po 300 złotych,
9 *Nagroda:* Aparat kinematograficzny „Pathé Baby" z kasetą, filmem i statywem,
10 *Nagroda:* Aparat kinematograficzny „Kodak",
11 *Nagroda:* 150 złotych.
12, 13, 14 i 15 Nagrody: po 100 złotych,
16 do 24-ej Nagrody: wieczne pióra „Platignum" z „Komispolu".
25, 26, 27 i 28 Nagrody: piłki skórzane do napompowywania z „Komispolu".

Wszystkim dzieciom, biorącym udział w tym konkursie, znana fabryka czekolady „SUCHARD" nadeśle w podarunku paczkę kakao „SUCHARD", oraz piękny wielobrawny balonik.


Nr. 65. „Marszałek" (Warszawa, fot. Malarski)


Nr. 66. „Wandzia z Pragi" (Warszawa)


Nr. 67. Jasio Czyżyński (Warszawa, fot. Malarski)


Nr. 79. Staś Frankiewicz (Chełmno)


Nr. 80. Jadwiga Medyk (Warszawa, fot. Malarski)


Nr. 81. Karuś T. (Warszawa)

W następnym numerze podamy siódmą serję fotografij konkursowych.

Czy wiecie że...

...za najdroższą książkę we Włoszech należy uważać t. zw. „Enciclopedia Italiana", której pierwszy tom już się ukazał. Całość ma obejmować 36 tomów i będzie kosztowała z górą 4 tysiące złotych.

*

...czynione są obecnie próby wprowadzenia filmu, sporządzonego ze sztucznego jedwabiu. W ten sposób nietylko obniżyłaby się cena produkcji filmu, lecz w dodatku film podobny byłby trudniejszy do zapalenia, a w razie pożaru nie tak niebezpieczny, jak dotychczasowy.

*

..w ciągu roku 1928 zabiły samochody w Ameryce 96 tysięcy ludzi, zaś liczba rannych wynosiła około 10 miljonów osób.

*

...podczas trzęsienia ziemi w Persji w jednym tylko okręgu zginęło 2553 osoby.

*

...w lipcu b. r. obchodzony był stuletni jubileusz wynalazku maszyny do pisania, którą zawdzięczamy Wiliamowi Burth z Detroit.

*

...Szwajcar Anstein należy do najwybitniejszych przedstawicieli sportu kolarskiego. Pokrył on niedawno w ciągu 3 godzin 117 km. 113 m. w ciągu 4 godz. 152.679 km., 5 godz. 188.211 km., 6 godz. 225.015 km.

*

...w klinowem piśmie assyryjskiem z r. 2500 przed N. Chrystusa znajdujemy wzmiankę o tem, że bóle głowy, nóg i krzyża powodowane są zakażeniem zębów. Obecnie stwierdzili lekarze w wielu wypadkach, że Assyryjczycy mieli słuszność.

...żyje we Francji staruszek 92 letni, który posiada 11 dzieci, 46 wnuków i 30 prawnuków.

*

...jeden z profesorów uniwersytetu amerykańskiego wystrzelił niedawno pocisk na księżyc. Do eksperymentu tego przygotowywał się kilkanaście lat, widocznie jednak niezbyt sumiennie, skoro pocisk eksplodował już na wysokości 300 m., a więc dosyć daleko od księżyca.

...jak wielką jest wytrzymałość ludzka, świadczy o tem fakt, iż pewna para małżeńska, stoczywszy się podczas wycieczki w przepaść, uchwyciła się podczas staczania rosnącego na skałach krzaku i przetrwała tak pomiędzy niebem a ziemią pełnych 36 godzin.

*

...Stany Zjednoczone posiadają obecnie 24 miljony, 494 tysiące 580 samochodów, czyli tysiąc razy więcej aniżeli Polska. Francja posiada miljon 108 tysięcy, Anglja miljon 372 tysiące 109 samochodów.

...po raz pierwszy wspomina o dżumie Tucydydes. Jak choroba ta szalała w średniowieczu, świadczą o tem cyfry poniższe. W samym Londynie zmarło 100 tysięcy ludzi, we Francji około 80 tysięcy, w Chinach podobno 13 miljonów, a w liście skierowanym do papieża Klemensa VI szacuje autor liczbę ofiar dżumy na wchodzie na 23 miljony 840 tysięcy, zaś w całej Europie wyginęło około 25 miljonów ludzi, czyli jedna czwarta ludność.

*

...w Hamburgu uruchomiono obecnie łodzie - taksówki. Za godzinę jazdy taką łodzią płaci się 4,50 mk. niem.

*

...pierwszego przelotu morskiego dokonał dwadzieścia lat temu Bleriot. Przeleciał on z Calais do Dover.

*

...wynaleziono niedawno składany wózek dziecięcy. Po złożeniu robi on wrażenie małej walizki, którą bez trudu w minimalnym czasie można przekształcić na wózek.

*

...znaleziony rodowód obecnego Papieża przynosi potwierdzenie, iż rodzina jego nosiła przedtem miano „Ratus" i dopiero w drugiej połowie XIV wieku zmieniła nazwisko na „Ratti".

*

...do dnia 1/VI br. kursowało po Warszawie 7881 samochodów. Z tego taksówek 2974, prywatnych osobowych 2931, ciężarowych 1175, motocykli 637, autobusów 71, samochodów specjalnych 56.

*

...jeden z amerykańskich właścicieli samochodu wpadł na oryginalny pomysł: oto wytresował węża do pilnowania samochodu. Skoro ktoś obcy zbliży się do samochodu, wówczas wąż atakuje go i wyciągając groźnie żądło, ostrzega śmiałka przed ew. wejściem.

Drożyzna wzrasta...

Drożyzna wzrasta... Wzrasta z każdym dniem, zmniejszając ogólny dobrobyt i oddziaływując w sposób deprymujący na psychikę ludzką. Komisje badawcze, które niejednokrotnie powoływano celem wynalezienia przyczyn tego stanu rzeczy, stwierdziły w każdym razie, iż nic się nie da obciąć na zarobkach poszczególnych pośredników, mających do czynienia z danym produktem. Zyski ich, po potrąceniu wszelkich świadczeń, wystarczają zaledwie na skromną wegetację interesów handlowych i przemysłowych.

Szczegółowa analiza ceny danego przedmiotu skierowana jest przedewszystkiem ku zbadaniu dwu głównych czynników: kosztu surowca i robocizny. Do kosztów tych doliczyć należy: wydatki na administrację fabryczną (100% — 150% kosztu robocizny), na administrację centralną (10% kosztu poprzedniej pozycji), na odsetki od kapitału (12%), na zysk wytwórcy (10%, ceny sprzedaży), na koszty transportu, na koszty i zyski hurtownika, pół hurtownika i detalisty (75%).

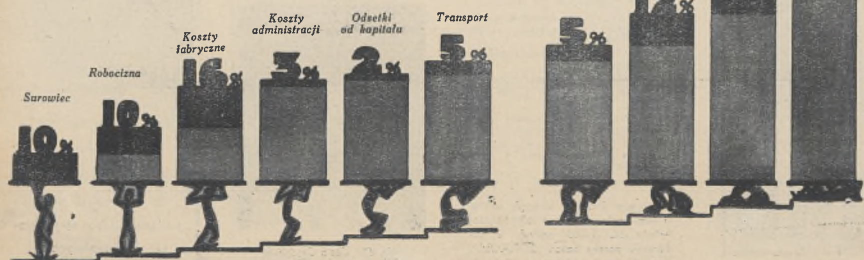
Jak obtanić ceny? Czy zwyżka lub zniżka kosztu robocizny znacznie się odbije na cenach? A może różnica w taryfach transportowych?

Pozycje te w ogólnej skali nie odgrywają znacznej roli — ważniejszem jest natomiast zreorganizowanie do gruntu metod produkcji i sprzedaży, skracając zbyt długi łańcuch wszelakiego pośrednictwa, które tłumi normalny rozwój życia gospodarczego i obniża dobrobyt ludzkości.

Racjonalna organizacja, wspierana przez szybki rozwój techniki zaradzi jedynie złu.

Statystyka amerykańska wykazała, że na każde 100 dolarów, które konsument płaci za płody rolnicze — 30 dolarów przypada wytwórcy, a 70 pośrednikom.

Analiza kosztów produktu od stanu surowego do sprzedaży detalicznej wykazuje, iż dopiero przy ostatnich etapach spożywca ugina się pod ciężarem nadmiernych kosztów.



Rozrywki umysłowe

ZADANIE

C. Mansfield

I nagr. Falkirk Herald 1929



Mat w 2 posunięciach

TURNIEJ SZACHOWY W KARLSBADZIE.

Wielki turniej szachowy w Karlsbadzie zakończył się zwycięstwem Niemcewicza, który z 21 możliwych punktów osiągnął 15 czyli przeszło 71%. Sukces Niemcewicza jest tem większy, że udało mu się wyprzedzić Capablankę. Oprócz Laskera i Bogolubowa nikt w turniejach powojennych nie mógł się poszczycić takim rezultatem. Capblanca osiągnął 14½ punktu i zdobył razem ze Spielmannem drugą i trzecią nagrodę. Sąsiedztwo z byłym mistrzem świata jest dla Spielmanna wynikiem wielce honorowym. W każdym razie nikt w Europie w ostatnich paru latach nie grał tak równo i z tak dobry wynikiem jak Capablanca. Czwartą nagrodę uzyskał Rubinstein (Polska). Wszyscy inni konkurenci (Bogolubow i Euwe) odpadli na dalszy plan. Szczegóły omówimy w jednym z następnych N-rów.

SZARADA

ułożył inż. J. Modrzejewski z Lublina.

Po pięknej, późnej wiośnie i deszczowej porze —
Nastały dni upalne z lata wreszcie końcem:
Uciekają mieszczuchy więc na wieś, nad morze,
Albo w *drugich* gdzieś cieniu kryją się przed słońcem.
Już *trzecie i dziewiąte* w polu, łąkach dzwonią —
Złoto plony ogarnią nasze *pierwsze — trzecie,*
Pod lasem wrzosowiska tchną już miodną wonią,
Już lato *trzecie—piąte* — jesień wnet na świecie...
Drugi wspak wkrótce w kniei gdzieś zabrzmi donośnie —
Strzelcy zwierza wypłoszą z najdalszego kąta,
A myśliwy przy starej zaczajony sośnie,
Czekać będzie — czy dobra jego *czwarta—piąta?*
W mieście nuda i pustka — został ten kto musi —
Nikt nie *szóste i ósme* walk o miejsce w kinie,
Zato w święta — w kolejkach podmiejskich się dusi
Tłum, co chce godzin parę spędzić przy rodzinie...
Całe! Lecz już niedługo ściągną znów do miasta —
Z letnisk ludzi zastępy na zimowe leże,
Wtedy z ulgą odetchnie i wykrzyknie: basta! —
Szósty — siódmy mieszkaniec—ucieszony szczerze.

BILETY WIZYTOWE

ułożył Stanisław Kamiński

Z poniżej podanych biletów wizytowych odcyfrować zawód.

SOTER - PROT BELINA - KRONKWOJSKI

INŻ. JAN HEMAR - CIETRYCKI
KOP. REDEN

Uwaga: Bilety wizytowe ułożone przez p. St. Kamińskiego nie są włączone do naszego konkursu rozwiązań. Za rozwiązanie ich przeznaczamy oddzielnie 1 książkę beletrystyczną do rozlosowania.

ułożył płk. inż. Stan. Fil-ski.

WICEK AR

ROMAN OG

T. R. OLSZA

ZET. RAPCIA

SRUL ASZ

KAZIM. RONI

A. T. STARY

RON. KOMIK

Z powyższych liter ułożyć zawód tych osób.

NAGRODY

Za rozwiązanie szarady oraz biletów wizytowych z niniejszego N-ru przeznaczamy nagrody w postaci 5 książek beletrystycznych (do rozlosowania). Termin nadsyłania rozwiązań 18 września.

ROZWIĄZANIE

zadań, zamieszczonych w Nr. 29 tygodnika „7 DNI"

1. LOGOGRYF.

R	z	e	k		A
A	m		o		R
J	e	r	z		Y
M	o	r	e		S
U	n	i	k	a	T
N	i	e	m	c	Y
D	a	w	i		D
P		o			E
O	n	y	k		S
I	n	k	u		B
N	e	n	u	f a	R
C	z	a	r	n	I
A	z		j		A
R	o	m	a		N
E	d	w	a	r	D

2. BILETY WIZYTOWE.

1) Kapelmistrz Opery.
2) Karykaturzysta.

NAGRODY

Za rozwiązanie zadań z Nr. 29 w wyniku losowania otrzymują nagrody pp. J. Kierepka, Trembowla, ul. Dmuchalcowa 62; Marja Klein, Białystok, ul. Mickiewicza 10; Stanisław Grudziński, Radom, ul. Słowackiego 9 m. 3; Wł. Krzysztof Hecht, podchorąży, Wilno, 6 p. p. leg. 3 komp., M. Weber, Wolanka.



O cyganach i ludożercach

Na Węgrzech został przed paru tygodniami zakończony proces bandy cygańskiej, oskarżonej o dokonanie szeregu zabójstw. Sensacją tego procesu nie była atoli istota mordów, ile podejrzenie, iż cyganie dopuszczali się zbrodni ludożerstwa. Sensacja ta jednakże prysła z chwilą wydania opinji negatywnej przez grono wybitnych rzeczoznawców.

Już niejednokrotnie cywilizacja miała do rozwiązania ponurą zagadkę ludożerstwa, którą przeważnie nastręczali cyganie węgierscy. Jeszcze w roku 1894 opinję całego świata poruszył fakt wykrycia ponurego przestępstwa antropofagji w łonie samych cyganów, jakiego dopuściła się banda znanego podówczas herszta Lejosza Fekete. I wówczas sąd uniewinnił zbrodniarza od zarzutu ludożerstwa, gdyż wiele szczegółów złożyło się na to, że Lajosz, wszystkich swoich zbrodni dopuszczał się bez świadomości swego czynu, a z jakąś dziecinną wprost naiwnością i skazał go wraz z całą bandą na karę więzienia jedynie tylko za dokonane mordy i rabunki.

Europejczyka, gdyż plemię to jest pochodzenia indyjskiego. Wskutek tego są oni obcem ciałem w naszych krajach. Według stopnia ich kultury, można ich zaliczyć do plemion dzikich, jak Papuasów, którzy stoją na tym samym szczeblu rozwoju.

Charakterystyczną cechą cyganów, jest kwestja ich wędrówek. Tułaczka jest cyganom potrzebna, jako cel sam w sobie. Sprawa pracy i zarobków stoi tu na drugim planie. Kradzieży, cyganie nie uważają za czyn niemoralny lub przestępstwo; wskazuje na to okoliczność, że okradają nietylko ludność, ale wzajemnie siebie samych. Kobieta, ta przez narody kulturalne z najwyższą zazdrością strzeżona świętość, jest u cyganów własnością niemal bez znaczenia; bez skrupułów rzuca cygan jedną kobietę dla drugiej, która mu się lepiej podoba. I dziwnym wydawać się musi fakt, że cyganki, całkowicie pozbawione autorytetu w łonie swego plemienia, są jednak naogół przykładnie moralne!

Cyganie, z natury odznaczający się charakterem popędliwym, żyją jednak na stopniu inteligencji dziecka. Nie można bezprzecznie twierdzić, że w przestępstwach ich kryje się czynnik sadystyczny, natomiast pewnem jest, że okrucieństwo, w każdym przejawie, sprawia cyganom wprost dziecinną radość. Wystarczy poznać ich... bajki, pełne grozy i dreszczyków. Kwestję ludożerstwa cyganie w tych bajkach starannie omijają, natomiast wychwalają mord i sceny rabunkowe, obmyślane z iście wschodnią fantazją.

Któżby przypuszczał, żeby w dzisiejszych czasach mogli jeszcze istnieć ludożercy, a co znamienniejsze w Europie. Wypadki podobne notowano w Rosji Sowieckiej, podczas straszliwych epidemij głodu. Rozpatrywano również przed kilkoma tygodniami sensacyjny proces na Węgrzech, nie dowiedziono wszakże oskarżonym Cyganom, iżby byli ludożercami

We wszystkich niemal wypadkach podobnego procesu, Sąd mobilizuje całe swe siły i wszystkie rozporządzalne środki, aby dociec prawdy, kryjącej się w tem potwornem przestępstwie, kładąc szczególny nacisk na orzeczenie biegłych i rzeczoznawców, rekrutujących się zazwyczaj z najpoważniejszych przedstawicieli świata naukowego, a którzy specjalnie zajmują się zbadaniem psychiki podsądnych.

Jeden z najwybitniejszych psychjatrów, dr. Jarosław Stuchritz, w swojem dziele naukowem o *antropofagji* powiada między innemi:

— Na zainteresowanie psychjatry procesem ludożerców składają się trzy przyczyny. Przedewszystkiem — zachowanie się oskarżonych zarówno przed sądem, jak i poza nim, które wymaga ścisłej obserwacji. W wypadkach, w których brałem czynny udział, już sama obserwacja dała sensacyjny materjał, gdyż podsądni, podczas przewodu, prawie w żadnym wypadku nie zdawali sobie sprawy z powagi sytuacji i dowcipkowali, żartowali, spierali się wzajemnie o byle drobiazg. Powtóre cel osiągany przez nich mordem, zupełnie nie wart był środków, bowiem zyski materjalne ich były znikome. I wreszcie zachowanie się ich po dokonaniu jednej zbrodni jest również niezwykle znamienne, gdyż z całym spokojem natychmiast przystępują do omawiania następnych.

Wszystko to razem dowodzi, że ma się do czynienia z istotami, których sposób myślenia i ustrój uczuciowy daleko odbiega od stanu normalnego.

Dla dokładnego poznania i zrozumienia cyganów, należy przedewszystkiem sięgnąć do ich etnologji. Cyganie, chociaż żyją wśród nas już setki lat, nie zdołali się zasymilować ze sposobem myślenia i systemem reagowania uczuciowego europejczyka, gdyż plemię to jest pochodzenia indyjskiego.

Cygan nie uznaje żadnej innej władzy, oprócz bata, i chętnie chełpi się tem, że został zbiczowany. Tak samo chełpił się przez czas trwania przewodu sądowego, główny oskarżony tegorocznego procesu Filke, herszt bandy, tem, że będzie skazany na śmierć.

Antropofagja jest dla europejczyka czemś tak potwornem, że jej nigdy nie zdoła pojąć. Ludożerstwo bierze swój początek z dawnych praktyk religijnych. Dzikie plemiona dotychczas jeszcze przynoszą swoim bogom ofiary z życia ludzkiego. Przypuszczenie, że może pobudka natury religijnej odgrywa w takich procesach bezpośrednią lub pośrednią rolę — nie sprawdziło się. Również przyczyna natury ekonomicznej nie ma w takich wypadkach żadnego znaczenia. Pozostaje zatem jedno domniemanie — psychopatologja.

We wszystkich procesach o ludożerstwo, zarówno rzeczoznawcy, jak i sędziowie doszli do przekonania, że mają do czynienia z bandą zbójów, bowiem oskarżeni z dziecinną wprost naiwnością chełpili się przed sądem swoimi czynami. Słowem, emocjonujący nastrój, jaki towarzyszy zazwyczaj takim procesom, oczyszczany bywa całkowicie z czynnika demonicznego, pozostawiając tylko kwestję zwykłego mordu.

(m. s.).

HUMOR



— Ojciec!!! Ten Pan prosi o inne portki, bo powiada, że te na niego za małe...



— Wie pani, że synek wcale nie jest podobny do pani męża.

— Nic nie szkodzi, za mały jest, żeby to zrozumiał.



Wieża reparacyjna nabyta przez elektrownię miasta Łodzi, zmontowana na podwoziu „Brockway"



Mr. J. Holliv wynalazł blokowy przyrząd automatyczny do ratowania ludzi z płonących domów



Ostatnio zainstalowano na ulicach Paryża wózki do zbierania śmieci. (Atlantic)

...wyciągnął ku niemu swą olbrzymią, kościstą i szorstką prawicę, która byłaby go udusiła, gdyby to leżało w jej mocy...
(Znany artysta filmowy, Leszek Owron jako Dawidson z now. „Ręka" fot. i insc. Dorys.)

TEODOR DREISER.

RĘKA

(Tłom. Dr. H. Bukowska).

I.

Dawidson przypominał sobie doskonale: było to dwa lub trzy lata po ponurym epizodzie w górach Monte - Orte — po demoralizującej, a jednak zasłużonej śmierci jego dawnego wspólnika i towarzysza przygód, Mersereau — gdy wypadek pewien, który można było przypisać zemście Mersereau albo jego życiu pozagrobowemu w świecie duchów, zniszczył jego egzystencję.

Długo pracował razem z Mersereau, spekulując na terenach kopalnianych albo eksploatując je, by nadać im większą wartość. Dopiero jednak po natrafieniu na obfite pokłady w Klondyce Dawidson okazał się znacznie zręczniejszym i przenikliwszym we wszystkich sprawach handlowych i finansowych, podczas gdy Mersereau stanął w miejscu i jakgdyby uchylał się od cudownych sposobności, jakie mu się nadarzały. W chwili n. p., gdy Dawidson dokonywał pociągnięć, które zaznaczyły koniec tego okresu jego karjery, nie mógł on w żaden sposób przedstawić swego starego wspólnika kapitalistom, z którymi pertraktował. A mimo to Mersereau zażądał — no proszę! — przysługującego mu prawnie udziału we wszystkich zyskach — we wszystkich!

Dotyczyło to między innemi owych zadziwiających terenów na Monte - Orte, które były powodem wszystkich późniejszych okropności. — Wszak to on, Dawidson, a nie Morsereau, odkrył kopalnię i pierwszy słyszał o niej, on zorganizował jej eksploatację razem ze starym Besmerem, swojem narzędziem i człowiekiem podstawionym, aż do chwili, gdy mógł ją objąć na własny rachunek, albo sprzedać osobie trzeciej. Wówczas to, opierając się na tem, że tak dawno byli wspólnikami, Mersereau zażądał połowy, albo przynajmniej jednej trzeciej części zysku — pod pozorem, że niegdyś stanęła między nimi umowa pracy na wspólny rachunek we wszystkich przedsiębiorstwach.

Pomyślcie tylko! Ponadto Mersereau stawał się z dnia na dzień, z roku na rok coraz głupszym, coraz więcej zbytecznym i nieprzyjemnym. Do tego stopnia, że wkońcu zagroził wyjawieniem podstępu, dzięki któremu on, Dawidson wszedł w posiadanie kopalni na przełęczy Skyute, — zagroził wykluczeniem go z życia publicznego i finansowego, aresztowaniem i oddaniem pod sąd, mimo iż przy tej sposobności naraziłby i siebie samego na te przyjemności. Pomyślcie tylko!

Ale Dawidson wyrównał rachunki z tym piekielnikiem. Wyrównał je dokładnie. Tej samej nocy poszedł w ślad za nim aż do chaty starego Besmera na Monte - Orte, gdy Besmer był nieobecny. Mersereau udawał się tam, by ukraść plan nowych pokładów, i rzeczywiście, przywłaszczył go sobie. Widzicie więc, że był to zwyczajny złodziej. W chwili jednak, gdy wymykał się, czując się już zupełnie bezpiecznym, on, Dawidson wymierzył mu odłamkiem szyny celny cios tuż nad uchem. Wystarczyło...

Mocny Boże! Jakiż straszny łoskot wydała, pękając, kość skroniowa Mersereau! I ta krew na szynie! Mersereau nie umarł jednak natychmiast.

Leżąc na ziemi, oparty na lewym łokciu, wyciągnął ku niemu swą olbrzymią, kościstą i szorstką prawicę — prawicę, którą, według własnych swych przechwałek, wyrządził tyle szkód przy rozmaitych sposobnościach — i utkwił w nim wzrok, jakgdyby chciał powiedzieć:

— O, gdybym cię mógł palnąć choć raz, zanim stąd odejdę!

Wówczas to Dawidson ponownie podniósł swą szynę do góry. Był przejęty zgrozą, lecz za wszelką cenę chciał uratować swą skórę. Dokończył swej „roboty". Potem zawlókł ciało do starej rozpadliny za chatą, przykrył je gałęźmi, zasypał igliwiem sosnowem i kupą kamieni — przynajmniej sto pięćdziesiąt wielkich i małych. Sama taka robota może powalić najtęższego człowieka. A ten widok! W żaden jednak sposób nie można było go uniknąć.

Uporawszy się z tem wszystkiem uciekł, dygocąc z przerażenia, jak szakal, ścigany przez tę rękę, którą widział przy świetle księżyca, wyciągniętą ku sobie drapieżnie — i przez to straszne spojrzenie. Na tem jednak skończyłoby się wszystko, gdyby nie zaczął tak bardzo zastanawiać się nad tą sprawą i jej potwornością.

Nie, nic nie zdarzyło się narazie. Upłynął rok, i gdyby miało się stać cokolwiek, powinno było stać się właśnie wówczas, nieprawdaż? On, Dawidson, udał się najpierw do Nowego Yorku, potem do Chicago, aby załatwić kupno terenów na Monte - Orte. Potem, po upływie dwóch lat wrócił tu, nad Mississipi. Zajął się plantacją trzciny cukrowej, która niegdyś była jego własnością, a którą udało mu się znów odkupić.

Ale ten trup! Ta ręka, wzniesiona w świetle księżyca, ta ręka, która byłaby go udusiła, gdyby tylko leżało to w jej mocy. Te oczy!...

II.

...Naprzykład, ten pierwszy rok po jego powrocie do Gatchard, nad Mississipi, skąd on i Mersereau wyruszyli kiedyś razem w świat. Doprowadziwszy do porządku swą posiadłość, udał się do zupełnie zaniedbanego majątku — swego wuja, ze starym domem, przez którego spadzisty dach przeciekała woda. Tam właśnie, w jednej z sypialń na pierwszem piętrze, spotkał się poraz pierwszy z „ręką".

Tak, ujrzał ją po raz pierwszy, zarysowującą się w sposób niesłychany, nieprawdopodobny. Tylko, któżby chciał uwierzyć, że była ręka Mersereau. Inni widzieli w tem zjawisku jedynie przypadek, kaprys wody deszczowej, któ-

(Ciąg dalszy na str. 20-ej)

Ruch kołowy w Anglji

Ilość wypadków automobilowych wzrasta we wszystkich z krajach z zastraszającą szybkością. W samych tylko Stanach Zjednoczonych zginęło w ubiegłym roku około 28.000 osób *) wskutek wypadków automobilowych, co stanowi więcej, niż 30% ogółu nieszczęśliwych wypadków, zanotowanych w tym okresie. Powyższa liczba wypadków automobilowych za 1928 rok jest wyższa o 3,1% od tej samej liczby za 1927 rok, a o 30% wyższa w stosunku do 1921 roku. Na podstawie specjalnych sprawozdań i rejestracji obliczyło Biuro Statystyczne General Motors, że największa liczba wypadków samochodowych zdarzyła się w Stanach Zjednoczonych w okręgach farmerskich i że ilość wypadków wzmaga się specjalnie w porze jesiennej, począwszy od września.

Rząd angielski już dawno mianował specjalną komisję, która miała na celu gruntowne przestudjowanie problemu regulacji ruchu kołowego na drogach publicznych. Komisja ta ogłosiła właśnie niedawno raport, w którem znajdują się bardzo ciekawe zalecenia co do sposobu regulowania i kontroli tego ruchu, które w wielu wypadkach mogą stać się wzorem dla innych państw.

Komisja uważa przedewszystkiem, że należy zasady regulacji ruchu ująć w formę prawną i to jak najprędzej. Pierwszym i może najważniejszem zaleceniem komisji jest żądanie, aby Minister Transportu miał prawo, w razie wypadku samochodowego, zarządzić śledztwo w celu wyjaśnienia przyczyny wypadku z tem zatrzeżeniem, że śledztwo takie jest obowiązkowe, gdy wypadkowi uległ samochód użyteczności publicznej. Podobne uprawnienie Ministra jest konieczne szczególnie wtedy, gdy katastrofie uległ samochód będący prywatną własnością.

Ciekawem jest, że komisja opowiedziała się za ograniczeniem szybkości jazdy na drogach. Dopuszczalna szybkość nie powinna przekraczać 35 mil (około 65 klm.) na godzinę. Wynosi to mniej więcej tyle, co przeciętnie osiąga dziś samochód. Większość kursujących samochodów nie osiąga w Anglji i w Stanach Zjednoczonych — jak to wykazały badania Biura Statystycznego General Motors — większej szybkości, niż zalecana powyżej. Może tylko niektóre autobusy długodystansowe przebywają więcej niż 35 mil na godzinę, i te będą musiały ograniczyć szybkość swej jazdy, gdyż komisja kładzie szczególny nacisk, aby prawnie przepisana szybkość była ściśle przestrzegana.

Następne zalecenia Komisji zasługujące na uwagę, dotyczą bardzo drażliwej dla większości automobilistów sprawy, a mianowicie t. zw. „niebezpiecznego kierowania wozem". Kary przewidziane są bardzo wysokie. Przy pierwszem złamaniu przepisów kary dochodzą do 50 funtów szterlingów, a przy następnych — do 100 funtów szterlingów z tem, że władze mają prawo nawet uwięzić kierowcę.

Przy następnem złamaniu przepisów oprócz kar powyższych, władze odbierają kierowcom prawo jazdy na okres nie krótszy od 6 miesięcy. W razie, gdy stwierdzenie „niebezpiecznego kierowania" jest bezsporne, niema wówczas żadnych wątpliwości co do stosowania odpowiednich kar. Najtrudniejszym jednak problemem jest wydanie sprawiedliwego sądu o stopniu winy kierowcy. Angielska prasa automobilowa podnosi, że jednostronna kwalifikacja ze strony policji jest niewystarczająca wobec tak surowych kar przewidzianych za przewinienia i wobec tego domaga się, aby kierowca mógł odwołać się do sądu w razie, gdyby się czuł pokrzywdzony decyzją policji.

Komisja regulacji ruchu ulicznego zaleca dalej, aby kandydat na kierowcę przedstawił uprzednio świadectwo zdrowia, przyczem proponuje ona wysokie kary w razie gdyby okazało się w przyszłości, iż świadectwo powyższe nie było wiarogodne. W stosunku do tego zalecenia komisji, prasa wysuwa również pewne zastrzeżenia, twierdząc, że w momencie wydania prawa jazdy kandydat mógł być zupełnie zdrowy, a dopiero potem zdrowie jego zostało nadszarpnięte, często wskutek właśnie kierowania samochodem.

Pełną natomiast oprobatę opinji publicznej zyskało zalecenie komisji, aby władze wydawały specjalne prawa jazdy dla kierowców aut ciężarowych nośności ponad 2 i pół tonny dla tych, którzy prowadzić będą samochody użyteczności publicznej t. j. między innemi i autobusy. Tylko specjalnie wykwalifikowani kierowcy mogą otrzymać ten ostatni rodzaj prawa jazdy.

*) Dane Biura Statystycznego General Motors.

ra przeciekła przez dach. A przecież ręka ukazała się na suficie pokoju — była to prawda tak oczywista, jak to, że świat istnieje, — po silnej burzy, połączonej z ulewnym deszczem, równającej się niemal cyklonowi, gdy woda zdawała się przenikać przez najmniejsze szpary starego dachu.

Nocy tej, gdy wszedł do sypialni z małą oliwną lampką w ręku i ułożył się już do snu w ciężkiem, szerokiem, wilgotnem łóżku, rozmyślając, jak to ustawicznie teraz czynił, o Monte-Orte i o Mersereau — rozpętała się burza. Słuchając skomlenia wiatru na dworze, usłyszał najpierw tarcie gałęzi — tak, była to niewątpliwie gałąź— o mur. Rzekłbyś, — byłby przysiągł na to w swem podnieceniu gorączkowem, — że ktoś gryzmoli akt oskarżenia piórem wyszczerbionem i zupełnie zardzewiałem.

Gdy burza wzmogła się, podszedł do okna, pod wpływem podniecenia i wzgardy dla samego siebie... W tej samej chwili piorun strzaskał drzewo, tuż pod oknem sypialni, o kilka kroków od niego — zupełnie tak, jakby ktoś, albo coś chciało go uderzyć — (Mersereau?!) — jak gdyby umyślnie zwabiono go do okna owem drapaniem. Boże! rzucił się natychmiast do ucieczki, czując, że wszystko to jest właśnie skierowane przeciw niemu.

Ale to nic jeszcze w porównaniu z tą ręką namalowaną na suficie przez przeciekającą wodę. Była tuż nad nim, gdy się obudził, naszkicowana na wilgotnem wapnie sufitu. Po wyschnięciu przybrała odcień blado-niebieski. Była tam wielka otwarta ręka, zupełnie podobna do tej, którą podniósł Mersereau owej nocy, — potworna, gruba, o palcach sztywnych, gotowych do chwytu. I, uwierzcie, jeżeli chcecie, koło niej majaczyło coś, jakby pióro — stare pióro o długiej obsadce, zapewne narzędzie tego drapania, które Dawidson słyszał poprzednio.

— Huldo! — zagadnął starą murzynkę, która weszła, by przynieść mu świeżej wody i otworzyć okiennice — do czego jest podobna ta plama, tam na górze, na suficie, w miejscu, gdzie przeciekła woda deszczowa?

Chciał się upewnić co do istoty tej plamy, którą widział, przekonać się, że nie była ona wytworem jego wyobraźni, podnieconej ponurym wyglądem domu.

— Coś mi się widzi, — rzekła Hulda, zatrzymując się, aby spojrzeć w górę, — że chyba wygląda to jak duża ręka, massa Dawidson. A może jak duża pięść? Musiała się tam na dachu otworzyć w nocy nowa szczelina. Ten stary dom już długo nie wytrzyma, chyba że się go gruntownie naprawi. Tak, massa, to napewno nowa dziura na dachu, która zrobiła się tej nocy. Widzę ją poraz pierwszy...

Gdy zaś dziwiąc się gwałtowności minionej burzy, zapytał jej:

— Huldo, czy często w waszych stronach bywają takie huragany? — odpowiedziała:

— Mój Boże! Już więcej jak trzy lata nie szalało tak, massa Dawidson!

Czy nie było dziwne, że wszystko to zdarzyło się właśnie wtedy, gdy on tu nocował? I już od trzech lat nie pamiętano tu podobnej burzy!

Hulda rozglądała się bezczynnie, zawsze gotowa do zabicia czasu, gdy nadarzała się ku temu sposobność, podczas gdy on odwrócił się ze złością. Być dręczonym przez takie myśli! Zawsze przypominać sobie sprawę z Monte - Orte. Dlaczego nie mógł zapomnieć? Czy nie była to w zupełności wina Mersereau? Nigdy nie byłby zabił tego człowieka, gdyby nie był do tego zmuszony.

A być prześladowanym w ten sposób, z kretowisk robić góry (przynajmniej tak wówczas myślał). Musiało to mieć źródło w jego chorobliwej wyobraźni. A jednak, jakąż okropną groźbę zawierało spojrzenie Mersereau! Spojrzenie to musiało snać coś oznaczać. Było zbyt straszne, by nie miało ukrywać czegoś złowrogiego.

Mimo wszelkich wysiłków Dawidsona, by nie myśleć o tem, nie udało mu się tego uniknąć. Mersereau, być może, nie posiadał władzy szkodzenia mu w przyszłości, przynajmniej na tym świecie. Czy jednak było to niewątpliwą prawdą? Czy pojawienie się owej ręki wskazywało na to, że rzecz ma się inaczej? Merserau nie żył. Wiadomo. Jego trup, jego szkielet, leżał pod kupą kamieni i odłamków skał, wśród których były tak wielkie, jak ceber. Poco się tem zajmować, zwłaszcza po upływie dwóch lat A jednak...

Ta ręka na suficie!..

III.

Grudzień, 1905.

A potem, jeszcze jedno. Spotkanie się z Pringlem w Gatchard, w tym samym okresie, w tymsamym tygodniu. To znów było winą siostry Dawidsona. Zaprosiła ona pewnego wieczora oboje Pringlów, aby go z nimi zapoznać, nie uprzedziwszy go wcale, że są to spirytyści i że zaczną zaraz mówić o spirytyzmie.

„Jasnowidzenie". Tak nazwał Pringle władzę widzenia, tego, czego oczy materjalne nie mogą dostrzedz. A „jasnosłyszeniem" nazywał on możność słyszenia tego, czego uszy materjalne dosłyszeć nie mogą. A poza tem materjalizacje i zjawy i stoliki mówiące i wszystko inne. Stoliki mówiące, to przeklęte tak, tak — tak, które mu od tej pory bezustannie brzmiało w uszach!

Ale była w tem również wina Pringla. Pringle za wszelką cenę chciał mówić. On, Dawidson nie byłby wcale słuchał, ale nie wiadomo jak, dał się oczarować opowiadaniem Pringle o tem, co ten słyszał i widział w ciągu swego życia. Że na dnie całej tej nowej historji tkwił Mersereau, było więcej niż pewne.

Jakkolwiek było, żałował bardzo, że słuchał tych bredni. Pringle bowiem miał dosyć czasu, by nabić mu głowę tymi strasznymi faktami czy ideami, które go od tego czasu tak bardzo dręczyły. Wszystkiemi okropnościami na temat pijaków, degeneratów, ludzi słabych, za którymi włóczą się najczęściej złe i szkodliwe duchy, posługując się nimi i każąc im wykonywać na ziemi swoje własne pragnienia i zamiary. Co za ohyda!

Czyż nie było to okropne? Pringle, — to rosłe, gąbczaste chłopisko, nieruchawy jak stojąca woda pozbawiona źródła, powtarzał z naciskiem, że widział, widział na własne oczy, chmary tych duchów, otaczających pijaków, zwyrodniałych, i inne istoty tego pokroju, w tramwajach, w pociągach, w zakazanych uliczkach, po nocy. Mówił, że raz widział jednego z tych złych duchów, — jednego tylko, pomyślcie! — istotę ciemną, wrogą, o czerwonych oczach, która przyczepiła się do łokcia pewnego człowieka, — i już go nie opuściła aż do chwili, w której człowiek ów w końcu zabity został w bójce.

Pringle utrzymywał, że duchy te mogą występować pod najrozmaitszemi postaciami. Były to małe, ciemne chmury nieregularne, mające tu i ówdzie na sobie czerwone albo zielone plamy, które były ich oczami.. Zmieniały one kształt, wydłużały się albo zaokrąglały, a czasami nawet przypominały koty lub psy nieforemne. Posiadały władzę przybierania dowolnego kształtu, nawet ludzkiego.

Innym razem, oświadczył Pringle, widział około pięćdziesięciu takich tworów koło pijaka, który zataczał się na ulicy. Usiłowały zepchnąć go do najbliższego szynku, aby doznać na nowo w jakiś nieokreślony sposób tego uczucia upojenia, którem same, będąc duszami pijaków, rozkoszowały się niegdyś na ziemi.

(d. c. n.)



Tłumy słuchają przemówienia Ministra Kwiatkowskiego przez gigantofon MARCONIEGO

MÓWCA STOI NA TRYBUNIE PRZEMAWIA DO TŁUMU, CHOĆBY ZŁOŻONEGO ZE STU TYSIĘCY OSÓB. WSZYSCY GO WIDZĄ, WSZYSCY GO SŁYSZĄ — WSZYSCY, DZIĘKI GIGANTOFONOWI MARCONIEGO.

Działacz społeczny lub polityczny na zebraniu publicznem, czy kaznodzieja w świątyni przed tłumem wiernych, czy wódz na placu przed szeregami żołnierzy — wszyscy jednakowo pragną, by każde słowo ich przemówienia doszło do słuchaczy. Czasy się zmieniły. Dawniej, gdy mówca mógł się poszczycić tysiącem chętnych słuchaczy, wystarczyło, by mając przed sobą stosunkowo tak nieliczne audytorjum, był obdarzony silnym organem głosowym. Dziś jednak jest inaczej: na wiecach przedwyborczych, czy na wielkich uroczystościach narodowych lub wojskowych, na odpustach lub pielgrzymkach, na igrzyskach sportowych lub na konkursach światowych gromadzą się nieraz stutysięczne tłumy ludzi, pragnących wziąć udział w uroczystości i doznać jak najwięcej wrażeń.

Praca nad zbudowaniem odpowiedniego aparatu, któryby mógł przenosić głos ludzki bezpośrednio do uszu setek tysięcy osób, nie przeszkadzając jednocześnie przemawiającemu i nie zakrywając osoby jego przed widzami, od wielu dziesiątków lat zaprzątała umysły wynalazców.

Zastosowanie mikrofonu w połączeniu ze wzmacniaczem, opartym na systemie lamp katodowych umożliwiło wreszcie wzmocnienie zwykłego głosu ludzkiego o wiele tysięcy razy, co przy połączeniu z odpowiednio skonstruowanemi tubami dało w wyniku efekt słyszenia na odległość przeszło kilometra.

Przy zastosowaniu kilku tub, objąć można głosem krąg, w którym pomieścić się może przeszło sto tysięcy osób. Zastosowanie tych urządzeń spotykamy niejednokrotnie podczas różnych uroczystości i na imprezach sportowych. Widzimy więc gigantofony podczas uroczystości religijnych na otwartem powietrzu, na wystawach, podczas obchodów narodowych, na rewjach wojskowych, w ogrodach publicznych (Dolina Szwajcarska i Luna Park w Warszawie) na konkursach hippicznych, na zawodach sportowych i t. d.

Gigantofony te budowane są w Polsce przez:

Polskie Zakłady Marconi S. A.

Zarząd i fabryka: Warszawa, Narbutta 29.

Sklepy: Warszawa, Marszałkowska 142,
Łódź, Piotrkowska 84,
Katowice, Dworcowa 16.

Historyczne idjotyzmy

Narówni z klasycznemi aforyzmami wypowiadanemi niegdyś przez mędrców, istnieją również klasyczne głupstwa, które z czasem nabrały wartości historycznych. Pochodzą one bądź od ludzi, których sposób myślenia stał w rażącej sprzeczności ze zdrowym rozsądkiem, bądź też były wypowiadane przez ludzi mądrych, w danej chwili roztrzepanych myślowo. W pierwszym wypadku posługiwali się niemi patentowani głupcy, którzy wypowiadali się z przeświadczeniem o głębokości swych uwag, w drugim zaś myśliciele tak pogrążeni w swych pracach naukowych lub dociekaniach filozoficznych, że głupstwa mówione przez nich wymykały się im z ust bez żadnego głębszego zastanowienia. Służyły one zawsze jako bogaty repertuar anegdot, a u niektórych narodów, jak np. u japończyków i irlandczyków stanowią do dziś dnia swojego rodzaju osobliwości, pieczołowicie przechowywane w pamięci potomnych.

„Doszła mnie pogłoska, że zwyciężyłeś w bitwie, w której, niestety, sam zginąłeś. Odpisz mi natychmiast, czy to jest prawda. Śmierć twoja byłaby dla mnie zbyt bolesną" — pisał książę Palatyn do hrabiego Sommy. Jego roztrzepanie było sławne i dało obfity materjał do anegdot, chętnie powtarzanych przez rycerstwo niemieckie. Pewnego razu spacerował książę Palatynatu po swoim ogrodzie, przyczem w spacerze przeszkadzała mu wielka, leżąca kupa piasku. Kazał ją natychmiast usunąć. Kiedy dworzanie oświadczyli mu, że narazie brak jest ludzi z furami do wywiezienia piasku, książę zawołał porywczo: „Wykopcie dół i wsypcie do niego piasek!". „A, co zrobić Wasza książęca Mość z ziemią, którą wydobędzie się z dołu". „Do djabła! Trzeba wykopać tak głęboki dół, żeby do niego wlazła ziemia i piasek".

Jeden z ówczesnych panujących książąt również odznaczał się wielkiem roztargnieniem. Widząc pewnego razu listonosza uginającego się ze zmęczenia pod brzemieniem przesyłek, powiedział: „Jak żeście nierozumni, czyż nie możecie tego wszystkiego wysłać pocztą?". Innym razem kupił kruka. Kiedy go się spytano o przyczynę odpowiedział: „Chcę się naocznie przekonać, czy faktycznie będzie on żył trzysta lat, jak o tem opowiadają'".

Podobnie bezmyślnemi odpowiedziami słynął hrabia Roussy. Polecił on kiedyś swemu kucharzowi zarżnąć barana na kolację. „Szkoda jest tego mięsa — zauważył kucharz. Jest tak gorąco, że popsuje się do drugiego dnia, ponieważ Wasza Wysokość zje dzisiaj tylko jego połowę". „Dobrze, dobrze, zarżnij więc na kolację tylko połowę.

Ten sam hrabia podczas swojej podróży po Hiszpanji zirytował się na dwa osły, zaprzęgnięte do jego powozu, które wciąż biły się głowami. „Zabijcie jednego z nich, a wtedy drugi tak się przestraszy, że do końca podróży da wreszcie spokój swojemu towarzyszowi". Głupia ta odpowiedź ma wiele wspólnego z wypadkiem, który zdarzył się tureckiemu Hodży Nasreddinowi. Posiadał on do spółki z bratem dom; wspólna jednak gospodarka nastręczała tak wiele kłopotu, że wreszcie poprosił swych przyjaciół o odkupienie swej własności. „Co wówczas będziesz robił z pieniędzmi? — spytano go". „Kupię od brata połowę jego domu i raz nareszcie będę miał spokój". Wiele jeszcze innych kawałów przypisują Nasreddinowi. Ich sława przewyższała jednak, jego mądrość i na wspomnienie jego nazwiska wszyscy odrazu wybuchali śmiechem. Nawet śmierć Nasreddina nie położyła tamy tej wesołości. Krewni, odwiedzający jego grób, miast mieć poważny i smutny wyraz twarzy, pokładali się na cmentarzu ze śmiechu. Zasłynął on najwięcej z następującego wypadku: obudziwszy się w nocy, wziął swój własny, wiszący płaszcz, za skradającego się złodzieja i strzelił do niego. Na drugi dzień zobaczywszy w płaszczu przestrzelinę powiedział: „Jak to dobrze, że go nie miałem na sobie. Już bym dzisiaj nie żył". Innym znów razem widząc z okna przechodzącą na dole żonę, zawołał na nią. Zadziwiwszy się siłą swych płuc, szybko zbiegł na dół by się przekonać jak daleko rozchodzi się jego głos.

Również ludzie o wielkich umysłach, wskutek swego roztargnienia, popełniali nieraz najrozmaitsze niedorzeczności. Szczególnie znany był z tego Newton. Napisał on kiedyś do swego przyjaciela list z zapytaniem, czy przypadkiem nie znalazł u siebie, pozostawionego przezeń złotego zegarka. W przypisku do tegoż listu pisze on dalej, że zegarek znalazł u siebie, w szufladzie komody, i dlatego niepotrzeba go więcej szukać. Roztrzepanym był także słynny filozof niemiecki Kant. Pewna dama, rozmawiając z nim, narzekała, że niema dzieci. „To pewnie jest choroba dziedziczna — odpowiedział Kant. Pani matka, zapewne również nie posiadała dzieci?".

Rozrzewniającem, a jednocześnie bezmyślnem było powiedzenie słynnego matematyka Sturma, który po długoletniej pracy stworzył ciekawą i nową teorję, nazwaną od jego nazwiska „teorją Sturma". Podczas jednego ze swych wykładów na uniwersytecie, zwrócił się on do studentów z następującemi słowami: „Przystąpimy teraz do rozpatrzenia pewnej, matematycznej teorji. Mam zaszczyt nosić takie samo nazwisko jak i ona".

Przysłowiowem było roztrzepanie Mommsesa. Razu jednego polecił służącej napalić w piecu, w salonie. Po chwili jednak dodał: „Ale prawda! Zapomniałem powiedzieć na ile osób". Już jako student, wywołał prawdziwy huragan śmiechu zapytaniem, czy słynny podróżnik Cook zginął podczas pierwszej ze swoich trzech wypraw odkrywczych.

Wszystkie jednak wyżej wymienione powiedzenia zakasowało zdanie wyrzeczone przez jakiegoś anonimowego grabarza, który po bitwie chował żołnierzy do wspólnej mogiły. Jeden z asystujących przy tej ceremonji oficerów, zwrócił uwagę na żołnierza, dającego jeszcze słabe oznaki życia. Na to grabarz odpowiedział: „Widzi Pan, o ile Pan zacznie się pytać każdego z nich czy już umarł, to napewno żaden się nie będzie chciał do tego przyznać. A co wtedy?"

(z.).

TAJEMNICA POROSTU WŁOSÓW ZBADANA NAUKOWO

7 DNI NASZEGO CZYTELNIKA

TEATR

WIELKI
dn. 6 Halka
dn. 7 Hrabina,
dn. 8 Halka.

NARODOWY
Codziennie:
Wiosna Narodów (w cichym zakątku).

LETNI
Codziennie:
Proces Mary Dugan.

POLSKI
Codziennie:
Artyści.

MAŁY
Codziennie:
Para nie para.

QUI - PRO - QUO
Gabinet figur wo(j)skowych.

MORSKIE OKO
„Zabawki dla Warszawki".

RADJO OGRÓD PHILIPSA (Mazowiecka 9)
Codziennie oprócz poniedziałków koncert — dancing od godz. 5 — 22-ej.

KALENDARZYK TYGODNIOWY

8 N Narodzenie N.M.P.
9 P Sergjusza.
10 W Mikołaja.
11 Ś Prota i Jacka.
12 C Imienia N.M.P.
13 P Eugenji.
14 S Podwyższ. Krz. św.

KALENDARZYK ASTRONOMICZNY

Słońca w.	Słońca z.	Księżyc w.	Księżyc z.
4.58	18.8	13.26	20.20
5.0	18.6	13.42	20.41
5.1	18.4	13.56	21.3
5.3	18.2	15.3	21.48
5.4	18.0	16.0	22.33
5.6	17.58	16.43	23.34
5.7	17.56	17.17	0.0

KALENDARZYK HISTORYCZNY

8 września 1831 r.—wojska rosyjskie wkraczają do Warszawy.

12 września 1683 r. — zwycięstwo Sobieskiego pod Wiedniem.

W PRZEDEDNIU OTWARCIA WYSTAWY OGRODNICZEJ NA PWK.

Dnia 31 sierpnia w ramach PWK. na terenach zachodnich w Hali Zjazdów otwarta została wielka wystawa ogrodnicza. Jak się dowiadujemy wystawa gromadziła moc ciekawych eksponatów ogrodniczych i w kołach fachowych ogrodników jest przedmiotem ogólnego zainteresowania.

UKŁADY I RYSUNKI WYKONAŁ L. CHEJFEC.

ZJAZD 7-miu ministrów przemysłu i handlu na P.W.K.

Dnia 15 oraz 16 sierpnia na zaproszenie Rządu polskiego, zjechali się do Poznania ministrowie przemysłu i handlu Belgji, Szwecji, Norwegji, Finlandji, Łotwy i Estonji, celem dokładnego zapoznania się z Powszechną Wystawą Krajową. Panom Ministrom towarzyszyli oficjalni przedstawiciele Rządu polskiego wraz z ministrem Kwiatkowskim na czele.

LEKOATLECI JUBILACI.

(C-S) Nareszcie i lekkoatletyka polska doczekała się swoich jubilatów. Otomecz lwowski z Rumunją był dwunastem spotkaniem międzypaństwowem Polski, przyczem po 10 razy barw naszych bronili Baran, Adamczak i Szejnach. Po 9 razy startowali Kostrzewski, Weiss i Sikorski, po 8 razy — Jaworski, Trojanowski, Dobrowolski i Cejzik, a po 7 razy — Sawaryn i Fryszczyn.

KINO

Casino: „Wschód słońca z Janet Gaynor.
Colosseum: „9.25". (Przygoda jednej nocy).
Quo Vadis: „Zagłada Rosji".
Światowid: „Zagłada Rosji".
Pan: Djablica z Trypolisu".
Filharmonja: „Czarna dama" i „Wiosenna parada.
Capitol: „Djablica z Trypolisu".
Apollo: „Wesoły wdowiec".
Wodewil: Pat i Patachon jako gazeciarze".
Stylowy: „Marynarz słodkich wód" z Buster Keatonem.
Splendid: „Dziewczę z temperamentem".
Palace: „W szponach djablicy".
Hollywood: Bohaterowie morza".

Kobieta w spodniach



Dina Gralla. (Fot. Petef)



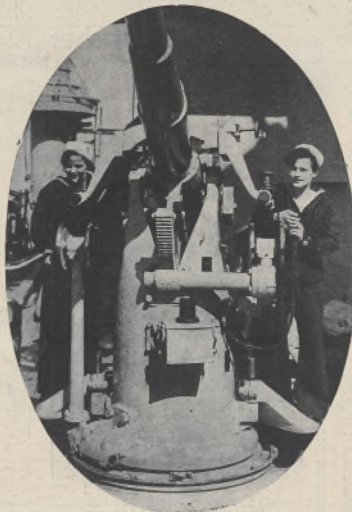
Kobieta „cow-boy". Nowa kreacja plażowa. (Fot. Wide World)

Kobieta w spodniach... Prababki nasze zgorzałyby ze wstydu, gdyby kapryśna moda wymyśliła spodnie, jako strój publicznie noszony przez białogłowy. Pamiętamy wszak iż ukazanie z pod szeleszczących „dessous" nawet na scenie teatrzyku kawałka nóżki artystki i rąbka „pantalonów" było uważane za straszne „shocking".

Czasy się zmieniły...

Chłopczyca współczesna, której sukienka nie zakrywa nawet kolan, zakłada jeszcze nogę na nogę, odsłaniając „culottki".

Chłopczyca uprawia narówni z mężczyzną wszystkie sporty, w których zredukowana nawet spódniczka przeszkadzałyby w swobodzie ruchów. Amazonka z trenem jest dzisiaj przeżytkiem. „Breeches", wysokie buty i rajtrok — czyż nie wygodniej?...



Młode amerykanki na przeszkoleniu morskiem. (Fot. Universal)



Ostatnia kreacja mody na plażę (Fot. Wide World)

Automobilistka czy lotniczka — a piękne panie z coraz większym zapałem poświęcają się temu sportowi — wolą również (nie bez słuszności) spodnie.

Piękna pani woli pół męski strój na plażę, na złość figlarnemu wichrowi, który dziw ne rzeczy wyprawiał ze spódniczkami.

Piękna pani wreszcie przeobraża się czasem w dzielną amazonkę i mężnie dzieli trudy wojenne, na równi z mężczyzną. Trudno być wojakiem i nosić spódnicę Nicby nawet nie powiedziały na to nasze prababki, boć i wśród nich bywały dzielne białogłowy, co w pluderkach i w kontusiku zaciągały się do chorągwi...

„7 DNI" wychodzi co czwartek w Warszawie — Krakowie — Poznaniu — Lwowie i Wilnie
Prenumerata kwartalna: 5.50; półroczna 10.50; roczna 20 zł. wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałka Focha 2.
Tel. 525-85 i 72-85. Konto P. K. O. 19.447. Przedstawicielstwo na Francję: L. Sładowski, 98 Bd Blanqui, Paris, XIII.
Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.
Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, ½ strony zł. 600, mniejsze podług ilości milimetrów. 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy.
Klisze ogłoszeniowe zajmujące więcej niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż 2 szpalty — jako 3 szpaltowe.
Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.
Redaktor naczelny przyjmuje interesantów w lokalu redakcji: w środy i piątki od godz. 17 do 19-ej. (Oprócz dni świątecznych).

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI. Kierownictwo: BOLESŁAW KARNISZYN Wydawca: BOLESŁAW KARNISZYN i S-ka Sp. z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 172-22 i 117-98.